Miesięcznie 1 zł.
prenumeratę przyjmuje każda poczta

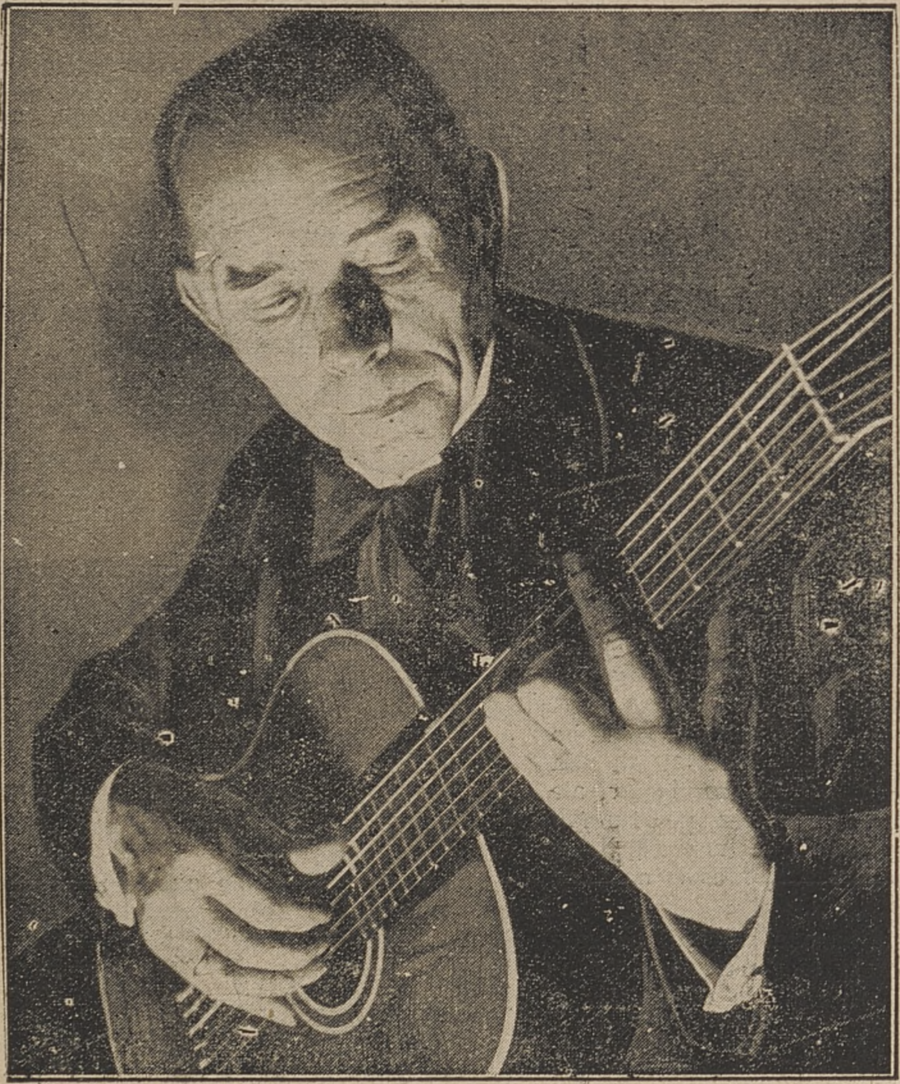
1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. *Niedziela, dnia 13 grudnia 1936 r.* Nr. 50

DAREMNIE...



Daremnie szukać takiej melodii
W poszumach wichru, lub we mgłach sinych,
Którą w noc głuchą, w noc smutnych godzin —
W ludzkim się sercu nieraz poczyna.

Ani ją wicher nie wygra w polu,
Ani utulą mgły ciemną nocą,
Tylko znów piersi od niej rozbolą,
Kiedy akordów wybuchnie mocą.

Tylko coś w duszy od niej zapłacze...
Że młodość przemkła, jak ptaki lotne,
I szczęście dobre nie zakołacze,
Jak dawniej, do szyb błękitnych okien...

Że to już życia ostatnia karta...
Że nic, prócz smutku, nie pozostało,
Prócz tej melodii dziwnej, upartej,
Co jak „memento", w sercu zadrgała.

Maria Zemmlerówna.

WOJCIECH HOLM

10)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Stary sługa postawił na ziemi tacę i poszedł znowu do pokoju barona; za chwilę wrócił.

— Pan baron prosi — rzekł głośno, a po cichu dodał ostrożnie — pozostanę w pokoju obok.

Baron powitał Sylwię głębokim ukłonem.

— Czemu mam zawdzięczyć zaszczyt witania pani u siebie? — spytał.

— Panie baronie, odrzekła Sylwia — przychodzę do pana, aby spełnić święty obowiązek. Hrabia Werner znikł bez śladu.

— Ku wielkiemu memu zmartwieniu i smutkowi — dodał pośpiesznie Egon. — Może pani będzie łaskawa usiąść — rzekł jeszcze uprzejmiej.

Sylwia usiadła i mówiła dalej.

— Pan, panie baronie, jesteś najbliższym spadkobiercą Wernera. Spadek jednak może pan dopiero objąć wtedy, gdy śmierć Wernera będzie stanowczo stwierdzona.

— Niestety, proszę pani — odpowiedział Egon udając zmartwienie — co do śmierci mego nieszczęśliwego krewniaka niema już najmniejszych wątpliwości.

— To rzecz zapatrywania — odpowiedziała Sylwia, tłumiąc złość — powiedziano mi, że w każdym razie dwa lata muszą upłynąć, nim pan spadek obejmie, jeżeli zwłok nie znajdą. Panu jednak musi na tem zależeć, aby termin ten skrócić?

— Naturalnie, proszę pani — trochę ironicznie odpowiedział Egon — gdybym tylko wiedział w jaki sposób to uczynić.

— Niech pan wyznaczy nagrodę za znalezienie zwłok — rzekła Sylwia — wtedy mordercy, który może zamordowali Wernera, wydobędą trupa jego stamtąd, gdzie go schowali i przyniosą, jakoby go byli znaleźli.

Mówiąc to, drżała silnie.

— Pani jest ogromnie zirytowana — szepnął Egon ze współczuciem, przy czym przysunął swoje krzesło do kanapy, na której ona siedziała.

— Współczuję bardzo razem z panią — rzekł i ujmując ją za rękę, dodał: Jakże zazdrościłem Wernerowi, bo wyznam pani, że widok twój wywarł na mnie ogromne wrażenie.

Piękna dziewczyna wstała.

— Pan nadużywa prawa gościnności — rzekła.

— Niech się pani nie gniewa — prosił Egon — tylko uwielbienie największe skłoniło mię do tego, żem to powiedział, uważam panią za wdowę mego krewnego, a tym samym swoją krewną i obecnością pani w tym zamku, czuję się zaszczycony.

Zadzwonił i za małą chwilę zjawił się Edward.

Baron szepnął mu kilka słów i sługa wyszedł.

— Nic mi pan jeszcze nie odpowiedział na moją propozycję — rzekła Sylwia — sama nie mam funduszów na ten cel, inaczej nie naprzykrzałabym się panu z tem...



Zdjęcie nasze przedstawia jedenastoletniego Peter Balerio, małego mistrza gra na harmonii, popisującego się w Londynie.

— O pani, czy możesz wątpić choćby na chwilę, że z największą gotowością zgadzam się na ten plan — zawołał Egon z wyrzutem.

W tej chwili Pluto, leżący u nóg swej pani zerwał się, szczekając głośno, gdyż Egon próbował pocałować Sylwię w rękę.

— Ten pies nie jest salonowy — powiedział Egon odskoczywszy ostrożnie, trzeba go stąd wypędzić.

Na te słowa pies zawarczał i pokazał dwa rzędy białych, ostrych zębów.

— Jeżeli się go nie drażni — rzekła Sylwia — to jest on bardzo spokojny, nie będę panu dłużej przeszkadzała. A więc poczyni pan kroki odpowiednie?

— Naturalnie — odpowiedział Egon, potem dodał w tonie błagalnym — niechże pani tak się nie spieszy, przecież byłoby bardzo dobrze, gdybyśmy wspólnie umówili, co trzeba zrobić. Wiem, że bystry umysł pani bardzoby mi był pomocny.

Sylwia nie zwracała uwagi na te słowa.

W pobliżu barona czuła się dziwnie niespokojna. Gorący oddech, który czuła na sobie, wzrok, którego z niej nie spuszczał, jego błyszczące oczy mówiły dość wyraźnie.

Sylwia byłaby najchętniej uciekła, bo czuła instynktownie, że baron nie ma wobec niej szlachetnych zamiarów, ale pragnienie dojścia do celu, przytłumiło w niej wszystkie inne uczucia.

Stary sługa wszedł, niosąc na tacy flaszkę i kieliszki.

Na skinienie barona wyszedł wprawdzie, postawiwszy tacę na stół, ale rzucił nań spojrzenie pełne nieufności.

— Byłem długi czas na Wschodzie — mówił Egon słodziutko — i nauczyłem się tam sporządzać wspaniały sorbet i jeżeli pani pozwoli, to będę dziś jej podczaszym.

— Dziękuję panu, panie baronie, nie chcę pana trudzić — odpowiedziała Sylwia.

W tejże chwili przypomniała sobie bowiem jak Mala ją przestrzegała, żeby nic u niego nie piła.

Ale baron nie zraził się jej odmową. Własnoręcznie postawił na kredensie karafki, które Edward przyniósł i zaczął mieszać napoje.

Po pokoju rozeszła się woń róż.

— Olej różany — mówił Egon — mają tu tylko bardzo rozcieńczony, prawdziwy i czysty można dostać jedynie na Wschodzie.

— Wspaniały ma zapach — szepnęła Sylwia, ale była jakaś strwożona i dziwnie senna, powieki jej zapadały i z trudem powstrzymała się od tego, by nie zasnąć. Woń odurzająca zapierała jej oddech.

— Gorąco tutaj — szepnęła strwożona.

— To słońce tak dopieka — rzekł Egon z uśmiechem i zapuścił story.

W pokoju zapanował zmrok i niepokoił Sylwię równie jak duszność równocześnie odczuwana tak dziwnie, że nie zdołała zdać sobie z tego sprawy.

— Może pan otworzy okno — prosiła nieśmiało.

— To byłoby jeszcze gorzej, bo na dworze strasznie gorąco — odpowiedział Egon. Niech mi pani zrobi tę łaskę i skosztuje szklankę mego sorbetu, to panią cudownie orzeźwi.

Sylwia wzięła szklankę do ręki i poprowadziła do ust, ale nie piła.

On patrzył na nią wzrokiem sokoła i zauważył dobrze jej podstęp.

— Może mi pan powie, co pan zamierza zrobić — pytała trwożnie piękna dziewczyna.

— Łaskawa pani ja nie jestem zręczny w układaniu planów — odpowiedział chytrze Leon. — Jeżeli się mam na coś decydować, to musi mnie wpierw dym cygarowy odpowiednio nastroić, bo nic mnie tak nie podnieca jak palenie tytoniu.

Teraz jednak w obecności pani nie odważyłbym się palić.

— Ależ proszę zapalić — odrzekła piękna dziewczyna. — Ojciec mój palił dużo, dlatego jestem do dymu przyzwyczajona.

— A więc korzystam z łaskawego pozwolenia — odrzekł Egon, szukając pudełka, ale nie znalazł go. Zwrócił się więc do swego pięknego gościa, z prośbą, aby nie wzięła mu za złe, jeżeli na chwilę wyjdzie, bo nie ma z sobą papierosów.

Wyszedł wtedy do swojej sypialni, gdzie wziął karton wonnego tureckiego tytoniu i wmieszał w to jakąś bronzową masę.

Z tego ukręcił sobie około pół tuzina papierosów, które włożył do eleganckiej papierośnicy z dobrej skóry. Poczem pospieszył do Sylwii, oczekującej go z niepokojem.

Egon jeszcze raz przepraszał i powiedział: a więc pani pozwala mi łaskawie palić?

— Proszę — odrzekła Sylwia.

Wyjął wtedy papierosa i zapalił.

Podczas, gdy przedtem siedział obok niej, zajął teraz miejsce naprzeciw niej.

Dym papierosów unosił się ku Sylwii, ona wdychała go z każdym tchnieniem i czuła jak dziwna ociężałość owładnęła jej członki, zbladła jak trup i drżała silnie.

— Gorąco tu za wielkie na siły pani — powiedział — proszę niech pani napije się trochę sorbetu, nic tak cudownie nie chłodzi jak ten napój.

Poznał po jej twarzy, że już nie dobrze słyszała, co do niej mówił. Z uśmiechem, którego mu dyabeł mógł pozazdrościć, zbliżył kieliszek do jej ust.

Mechanicznie i zupełnie niezdolna już do myślenia, wypiła podany jej napój.

— Jeszcze trochę — prosił, nachylając jej kielich — to panią pokrzepi.

Zupełnie osłabiona i pozbawiona woli wychyliła kielich; patrzyła potem na niego oczyma osłupiałemi, jakby wygasłemi.

Gorączka widoczna była na jej twarzy. Chciała powstać, ale bezwładnie upadła na kanapę. Chciała mówić, ale bełkotała tylko niezrozumiale.

— Tak moja gołąbeczko, oddałaś mi się dobrowolnie — szepnął Egon, patrząc na nią z diabelskim zadowoleniem. — Jeszcze kilka minut, a stracisz zupełnie przytomność.

Powieki oczu młodego dziewczęcia przymknęły się.

Głębokie westchnienie wyrwało się z jej piersi. — Usnęła.

Teraz pochylił się Egon, aby ucałować jej różane usta, lecz z okropnym krzykiem cofnął się, bo Pluto tak się rzucił na niego, że tylko z trudem uszedł sile jego zębów.

— Zapomniałem całkiem o tej bestii, — mruknął, pieniąc się ze złości.

W tej chwili otwarły się drzwi do przyległej komnaty i stary Edward ukazał się na progu. Usłyszał krzyk, bo dotrzymując przyrzeczenia danego Sylwii, był w sąsiednim pokoju i rzekł drżącym głosem: Do usług pana barona.

— Proszę mi przynieść rewolwer, abym mógł psa zastrzelić. To zwierzę wściekło się.

— Połóż się, połóż — zawołał Edward łagodnie.

— Proszę zabrać stąd psa — rozkazał Egon.

Starzec dopiero teraz spostrzegł, że Sylwia zemdlała.

— Panna zemdlała! — zawołał przerażony.

Nie czekając na rozkaz swego pana, pootwierał okna, skropił wodą bladą twarz omdlałej Sylwii, podniósł ją i zadzwonił.

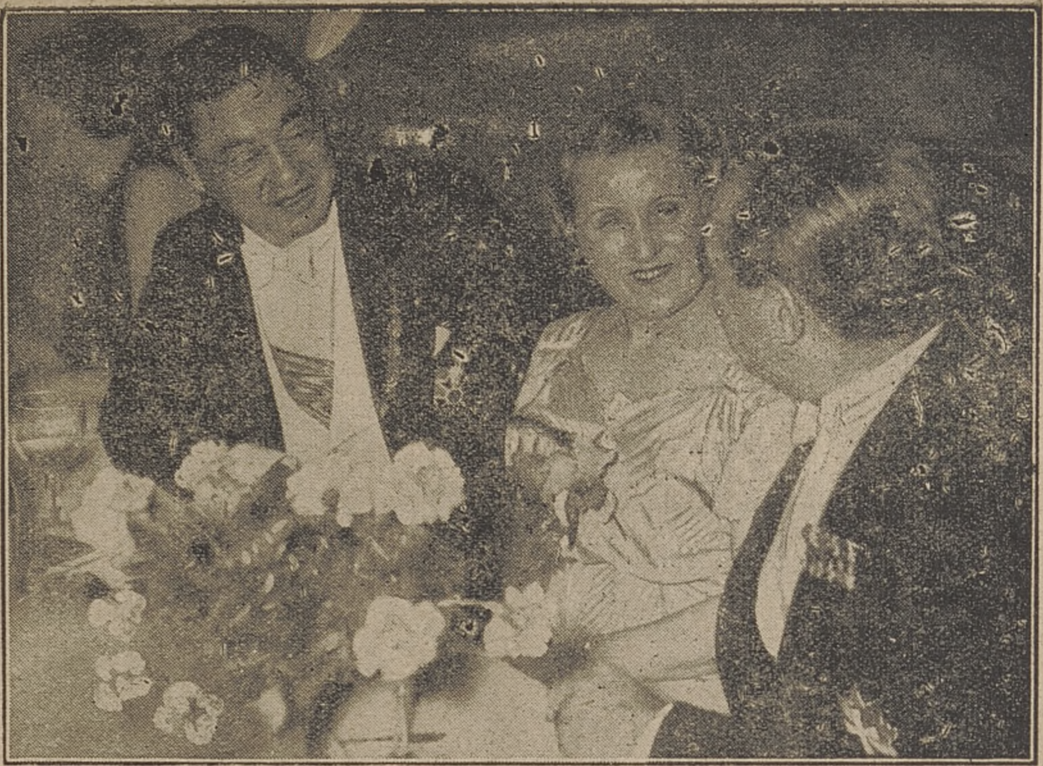
— Co to znaczy? — zawołał baron ostro.

— Wołam gospodynię, wielmożny panie. — odrzekł Edward.

— Przeklęty głupcze — syknął baron.

Rzuciwszy jadowite spojrzenie staremu słudze, widział, że plan jego się nie udał.

Duży pies stał, szczerząc zęby. Już kiedy się Egon pierwszy raz zbliżył do Sylwii, gotów był zdusić go za szyję.



W ostatnim czasie odbył się w berlińskim hotelu Udlon coroczny bal prasy, w którym brali również udział przedstawiciele korpusu dyplomatycznego i liczne znane osobistości. Na lewo: japoński ambasador Mufhakoji w rozmowie z p. Scholz i argentyńskim ambasadorem Labongle.

Starzec zajął się omdlałą dziewczyną.

Widząc, co się dzieje, Egon zwinął chorągiewkę.

Zaklął i wyszedł z pokoju nie okazując najmniejszego współczucia dla Sylwii. Byłoby mu nawet zupełnie obojętne, gdyby więcej nie powstała.

ROZDZIAŁ XXXIV

Spowiedź umierającego

W jednej z najpiękniejszych ulic Paryża, stoi pałac wzbudzający podziw wspaniałością swej budowy. Jeżeli na przyozdobienie zewnętrznej strony tyle łożono, myślał niejeden z przechodniów, o ile bogaciej musi być wnętrze tegoż ozdobione.

Żeby tam tylko spojrzeć można, życzył sobie niejeden. Jednak to było tylko małej garstce przyjaciół dostępnem.

Przed laty było tu zupełnie inaczej. Wtedy stały tu kilka razy w tygodniu powozy, oczekujące na gości, bawiących się w pałacu.

Z powozu wysiadały bogate panie, w kosztownych sukniach, ozdobione drogiemi kamieniami.

Jedwabne i aksamitne treny sukien szeleściały po schodach, wyłożonych dywanami, a kobiety z ludu, które stały gromadami na chodnikach, aby podziwiać wspaniałe suknie, szeptały sobie do ucha różne uwagi o wystrojonych paniach.

— To jest księżniczka Białowłosa — mówiła dobrze poinformowana stara kobieta do swej sąsiadki.

— Czy uwierzycie, moja kumo, że przybyła ona przed ośmiu laty z Normandii w drewnianych butach na nogach i z nędznym pakunkiem pod pachą.

— A teraz jest księżniczką — mówiła ze zdziwieniem druga.

— Ile to się różnym rzeczom człowiek napatrzy w życiu.

Wtedy stara niewiasta wybuchła takim gwałtownym śmiechem, że się jej aż czepek zsunął z głowy.

— O, moja kumo, Bernardyno, coś jesteście złośliwi — zawołała.

— Czy myślicie, że ta piękna pani jest naprawdę księżniczką? O nie, tak tanio nie dostaje się księcia, ale każde bezwstydne i bezczelne stworzenie może za księcia wyjść. Tę osobę przezwano księżniczką dlatego, że takie sobie tony nadaje, a Białowłosą nazywają ją dla jej siwych włosów, które się na jej głowie bielą, mimo jej młodych lat.

— Mnie tylko jedno dziwi — odpowiedziała kuma Bernardyna — że inne, bardzo dostojne panie z nią obcują.

— Inne dostojne panie — mówiła z szyderstwem stara. — O, wy niewinni, jak Baranek Boży, przecież one wszystkie jednakie.

Żadna z nich nic nie warta. Gdyby była sprawiedliwość na świecie, toby wszystkie takie kobiety wpakowane były do wora i wrzucone do Sekwany, bo to właśnie te potworne istoty, które największe nieszczęścia sprowadzają na nasze domy.

— A przecież one wszystkie tak elegancko wyglądają — mówiła kuma Bernardyna. — Każda z nich ma ze sobą służącego. To muszą być przecież godne szacunku kobiety.

— O, godne szacunku kobiety nie przestąpiły progu domu księcia de Lorme, od śmierci jego małżonki — zawołała stara. — Moja kochana kumo, ja znam świat, nie darmo to ja zamykałam loże teatru Rozmaitości przez trzydzieści lat.

— Co też pani mówi — odrzekła zdziwiona kuma Bernardyna — toż i panowie, którzy odwiedzają księcia, muszą być z dobrej szlachty.

— Naturalnie — odrzekła była odźwierna lóż — ci panowie, którzy tu przybywają, to są sami hrabiowie i książęta. Pomiędzy nimi nie ma ani

jednego mieszczanina. W wyborze przyjaciół jest książę bardzo wybredny, ale aby zostać jego przyjaciółką, wystarczy mieć piękną twarzyczkę i być bezwstydną. Jeżeli która młoda, to może szczęścia próbować, a może być pewna, że dostanie pięknych kilka tysięcy franków od księcia.

Teraz jednak już od wielu lat nie było żadnych głośnych zabaw w pałacu księcia de Lorme, tylko małe towarzystwa złożone z 6—8 osób zbierały się u księcia co tygodnia, a od jakiegoś czasu i tego nie było, bo książę ciężko zachorował.

Każdego poranka zjawiali się różni służący, aby się na rozkaz swoich panów dowiedzieć, jak się ma chory, ale co dnia były wiadomości, z któremi wracali, gorsze, a dziś rozpostarł nad pałacem anioł śmierci swe czarne skrzydła na znak, że w pałacu ktoś dogorywa.

A tym umierającym nie było żadne niewinne dziecię, ani żaden czysty młodzieniec, ale umierał mężczyzna, którego sumienie obciążone było bardzo ciężką zbrodnią.

Był to książę de Lorme.

Żył tak, jakby sumienia nie miał; był zepsuty i niedobry.

Teraz, kiedy czuł, że się koniec zbliża, opanowała go nieopisana trwoga i dręcząca skrucha.

Ach, coby był za to dał, gdyby się mogło odstać wszystko zło, które się przez niego stało. Jak marne wydały mu się teraz wszystkie jego niskie przyjemności. Gdyby mógł teraz na nowo rozpocząć życie, jakby żył cnotliwie.

Ale było już zapóźno. Droga jego życia już skończyła się. To wiedział dobrze i młody człowiek, który stał przy łożu umierającego.

— Arnoldzie — mówił stękając chory i rzucił mu błagalnie spojrzenie swoich smutnych oczu — muszę cię o przebaczenie prosić.

Smutno jest, jeżeli tak musi mówić ojciec do swego jedynego syna.

— Nie wzruszaj się, mój kochany ojcze — prosił Arnold — przecież byłeś dla mnie zawsze bardzo dobrym.

— Skrzywdziłem ciebie i twoją matkę — mówił umierający ze spokojem — ale jest istota, wobec której jeszcze więcej zawiniłem, niż wobec was obojga.

Umilkł, zmęczony tem mówieniem. Udręczenia jego duszy zwiększały się ciągle. W obliczu jego przebijał się wyraz wzruszającej skruchy. Śmierć już się szybko zbliżała.

Z całym wysiłkiem wstrzymywał się od okrzyków boleści.

Wskazał swą żółtą ręką na szklankę z orzeźwiającym napojem.

Arnold sięgnął po szklankę i ostrożnie zbliżył ją do ust chorego.

Książę wypił kilka kropli i powiedział nieśmiało: Arnoldzie, chcę się przed tobą wyspowiadać, pomimo tego, że mnie ta spowiedź w oczach twoich, mój synu, poniży.

Syn zaprzeczył ruchem ręki temu i błagał:

— Szanuj się, drogi ojcze.

— Nie, nie, to musi być — mówił chory gorączkowo. — Przedewszystkiem mogę mieć nadzieję, że może moje grzechy choć w części zmażesz, a powtóre, będzie to dla mnie pokutą, jeśli się ze swoich grzechów przed tobą wyspowiadam. Byłem utalentowanym chłopcem, moi rodzice byli ze mnie dumni. Śmierć zabrała im już dwóch synów i córkę, a ja zostałem ich jedynakiem. Byłem dla nich wszystkiem i dlatego nie odmawiali mi niczego, co mi naturalnie na dobre nie wyszło. Zaledwie doszedłem do pełnoletności, straciłem rodziców. Teraz nie miałem dla nikogo obowiązków i oddałem się życiu rozpustnemu, którego nie zaprzestałem, przez długie lata, aż dokąd twojej matki nie poznałem. Była ona biedną dziewczyną, ale pochodziła ze starej, szlachetnej rodziny.

Mieszkała ona przy starej, kapryśnej i niedobrej ciotce. W krótkim czasie poślubiłem twoją matkę, której nadzwyczajna piękność oczarowała mię. Ale miłość moja nie była trwałą. Łagodność mojej małżonki nudziła mię, jej pobożność pobudzała mię do szyderstwa, zdrowie jej słabło coraz bardziej, piękność jej zwiędła i byłbym ją... o, nie przeklinaj mię, Arnoldzie, byłbym ją w pierwszym już roku naszego pożycia opuścił, gdyby nie twoje przyjście na świat, które trochę zacieśniło węzeł małżeński między nami.

Byłem dumny ze swego syna i spadkobiercy. Przyjemności i rozrywki szukałem poza domem. Matka twoja nie odzyskała swego zdrowia, chorowała ciągle. Może byłaby wyzdrowiała, gdybym był sprowadził sławnych lekarzy, gdybym ją był wysłał do uzdrowisk. Ale nie uczyniłem tego. Podczas gdy sam podróżowałem i dla własnej przyjemności po uzdrowiskach się zatrzymywałem, ona pozostawała sama, chora i opuszczona w domu. Byłeś zaledwie sześcioletnim chłopakiem, gdy znowu napadł mnie niepokój i wtedy wybrałem się do Nizzy. Tam poznałem młodego hrabiego, Niemca.

Książę zmęczony, przestał mówić. Po krótkiej pauzie ciągnął dalej:

Hrabia był chory na suchoty. Do Nizzy wysłał go jego stryj, niejaki hrabia Wildenstein. Cudowne powietrze południowe nie pozwoliło rozwijać się tej strasznej chorobie. Jak wszyscy śmiertelnicy, tak i hrabia Wildenstein myślał, że wyzdrowieje. Czuł się o tyle silniejszym w tym zdrowym klimacie, że snuł wielkie plany na przyszłość. Zaprzyjaźniliśmy się i przedsięwzięliśmy wspólną podróż. Przybyliśmy razem do jednego miasta, w którym znajdował się sławny zakład dla córek szlacheckich. W rozmowie wygadałem się, że w tym zakładzie mam daleką krewną, która nie ma ani ojca, ani matki i dodałem, że mała musiała już dorość.

— Desirée, co za piękne nazwisko — zawołał mój przyjaciel zachwycony.

— Czy panna jest tak piękna jak jej nazwisko, o tem musimy się przekonać — zawołałem swawolnie. Złóżmy zakonnicom jeszcze dziś wizytę. Nie odmówią nam przyjęcia, jeżeli powiem, że jestem krewnym panny Desirée.

Chory zmęczył się i przestał mówić. Duże krople potu ukazały się na jego czole. W jego twarzy drgał każdy mu-



Pożądana pomoc w zimie...

skuł. Ręce zacisnął, a pierś jego podnosiła się z trudem. Arnoldowi zdawało się, że słyszy każde uderzenie jego serca i powiedział ze współczuciem:

— Nie dręcz się, drogi ojcze temi przykremi wspomnieniami. Lepiej mówmy o czem innym. Przy ulicy Montmartre zamieszkał teraz lekarz, który podobno cudownie leczy. Czy mam go zawezwać?

— Mnie nie pomoże ani lekarz, ani aptekarz — odrzekł książe — mój koniec zbliża się. Muszę się spieszyć, aby spowiedź dokończyć. — Otóż uzyskaliśmy pozwolenie wejścia do klasztoru i zobaczyliśmy Desirée. To właśnie było dla niej nieszczęściem. Liczyła około siedemnastu lat. Zostawała tu, bo nie miała innego przytułku.

Za jej utrzymanie płaci jakiś wuj, stary, siwy generał, który się zresztą wcale nie troszczył o swoją siostrzenicę. TA przecież była Desirée tak niezwykle piękną istotą, tak dobrą i niewinną, jakiej więcej w życiu nie spotkałem. Niemiecki hrabia zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia a mnie opanowała tak dzika i niepohamowana namiętność dla Desirée, że nie byłbym się wzdrygnął przed żadną zbrodnią, którąby mi jej posiadanie zapewniła.

Tysiące podstępów i chytrych wymówek używaliśmy, aby Desirée codziennie oglądać. Wkrótce jednak spostrzegłem z tajoną złością, że Desirée umiłowała hrabiego Wildensteina, że całem sercem przywiązała się do bladego młodzieńca. Nastał więc dla mnie czas, w którym musiałem wycierpieć wszystkie udręczenia zazdrości. Niemiec męczył mnie codziennie wyznaniem swego zachwytu dla mojej kuzynki, a w jej oczach czytałem, że ona mu się zupełnie odwzajemnia.

Kaszel przerwał to opowiadanie. Arnold obtarł ojcu pot z czoła i podał mu lekarstwo. Chory podziękował mu uściskiem ręki i mówił po chwili dalej.

— Hrabia był protestantem. Myślałem, że ta okoliczność przeszkodzi połączeniu się kochającej pary. Wspomniałem o tem kuzynce Desirée, ale spostrzegłem, że ją to nie powstrzyma od poślubienie Desirée.

Moja namiętność dla niej wzmagała się z każdym dniem. Wiedziałem to bardzo dobrze, że jej nie posiądę, dokąd jest w klasztorze, wiedziałem też, że tylko podstępem ją sobie zdobyć mogę i to właśnie spotęgowało jeszcze więcej moją namiętność. Hrabia wtajemniczył mnie w swoje stosunki. Zależał on zupełnie od swego stryja i nie śmiał się mu sprzeciwiać. Wiedział on dobrze, że ten nigdy nie zezwoli na poślubienie Desiree.

Pobierzcie się tajemnie — radziłem mu.

— Proszę mi pokazać drogę i środki ku temu — zawołał namiętnie.

— Chętnie poradzę — odrzekłem po chwili, czarny plan dojrzał w mym umyśle.

Znowu musiał umierający zebrać siły, by mógł dalej opowiadać.

— Nakłoniłem jedną z niesumiennych kobiet, z którą dawniej miałem stosunek, ażeby w pobliskiem kąpie-



Amerykański hydroplan „Chine Chipper" nad Honolulu.

wym miejscu zamieszkała i aby mówiła, że jest moją żoną. Z mego polecenia napisała ona list do przełożonej klasztoru, aby ta pozwoliła Desirée spędzić u niej kilka tygodni. Przełożona zezwoliła chętnie, a Desirée wyjechała w towarzystwie zakonnicy, która ją zostawiła u mniemanej księżnej de Lorme i spokojnie sama powróciła do klasztoru.

Zaledwie zakonnica wyjechała, przyjechaliśmy do tego miejsca kąpielowego. Desirée, która nie miała najmniejszego przeczucia komedyj, w jaką ją wplątałem, była dla swej domniemanej krewnej bardzo wylana, ale nie zaprzyjaźniła się z nią tak ściśle, jak przypuszczałem. Chociaż owa kobieta swoją rolę bardzo dobrze odgrywała, przecież jej się wymykało od czasu do czasu słowo, albo zdanie, które dziewczę dziwiło i odpychało.

Niemiec wyznał jej swą miłość i błagał ją, aby się zgodziła na ślub tajemny. Po krótkiem wahaniu zgodziła się niedoświadczona dziewczyna, a ja ofiarowałem się poczynić potrzebne kroki.

— I uczyniłeś to ojcze — spytał zdziwiony Arnold.

Umierający skinął głową.

— Uczyniłem to z wyrachowania — mówił cicho — udałem się do jednego księdza i powiedziałem: Przewielebny księże, sławiono mi waszą dobroć i łagodność. Czy ksiądz byłby gotów pomóc mi, abym przeszkodził jednemu łotrowi w wykonaniu złego zamiaru?

— Powiedzcie o co chodzi — odrzekł pobożny mąż, a ja zacząłem w te słowa:

— Jeden z moich przyjaciół, Niemiec, protestant, chce wziąć pozorny ślub z młodą dziewczyną katolickiej religii i polecił mi, wynaleźć osobę, któraby zechciała odegrać rolę kapłana. Ja wchodzę pozornie w te zamiary, ale tylko dlatego, aby temu przeszkodzić. Czy chce ksiądz zamiast zamierzonego pozornego ślubu dać młodej parze ślub rzeczywisty?

— Dlaczego pan lepiej nie otwiera młodej dziewczynie oczu, na charakter jej narzeczonego — spytał kapłan. — Jaki los czeka tę pannę przy boku jej męża?

— O przewielebny księże — dodałem z dobrze udanym smutkiem — niestety jest to koniecznem, żeby ten związek do skutku przyszedł, jeżeli dobra sława tej panny nie ma na tem ucierpieć.

Ksiądz namyślał się kilka minut, a potem powiedział:

— Dobrze, jestem gotów dać ślub.

— Nie wiem ojcze, co chciałeś tem uzyskać — dodał Arnold.

— Dowiesz się już — odrzekł chory. — Ślub odbył się. Desirée i hrabia niemiecki połączyli się węzłem małżeńskim. Po ślubie wręczył ksiądz Desirée akt ślubny i cicho mówiąc ostrzegł ją, aby go dobrze przechowywała.

Widziałem, jak szczerze współczuje z panną młodą i ucieszyłem się, że moja komedia tak dobrze się udała. Było to na wiosnę, a nowożeńcy przedsięwzięli krótką podróż poślubną, ale bardzo prędko wrócili, bo stan zdrowia młodego hrabiego był coraz gorszy.

Wskutek tego był bardzo drażliwy i zniechęcony i trudno mu było dogodzić. Młoda mężatka podwójnie przez to cierpiała, bo myślała, że to jej zaślubienie przyczyniło się wiele do tego. Osoba, która uchodziła za moją żonę umiała jeszcze zręcznie podniecać te jej obawy, wogóle była każdej chwili gotowa mnie wyręczać. Zapoznałem już dawniej młodego hrabiego z różnemi kobietami półświatka.

Jedna z nich była przez krótki czas w tem kąpielowem miejscu. Umyślnie tak zarządziłem, by ona przejechała konno koło mieszkania nowożeńców gdy w mojem towarzystwie na przechadzkę wychodzili. Ona uśmiechnęła się po-

stale do hrabiego, zatrzymała na chwilę konia, poczym szybko odjechała. O patrz! — powiedziałem — Wiktoria jest, a ty hrabio nic mi o tem nie wspomniałeś.

— Nie wiedziałem o tem — odrzekł hrabia podrażniony.

— Przepraszam — powiedziałem, byłem trochę roztargniony. — Do pierwszej miłości powraca się nieraz — dodałem wyraźnym szeptem. — Desirée zarumieniła się. Zazdrość w niej umiałem obudzić. Teraz było mojem zadaniem zazdrość tę podniecać, a czyniłem to z gorliwością, godną lepszej sprawy. Raz zastałem młodą kobietę zapłakaną. Zobaczywszy mnie, osuszyła szybko łzy i starała się ukryć smutek.

— Dlaczego mi nie ufasz mała kuzynko? — rzekłem — czyż nie jestem twoim najlepszym przyjacielem?

— Najlepszym przyjacielem młodej kobiety jest jej mąż — odrzekła ona dumnie.

— O, Desirée, Desirée — powiedziałem z wyrzutem — ty nawet nie wiesz, ile mi zawdzięczasz, od jak wielkiego niebezpieczeństwa ja cię uchroniłem, to tylko Bóg wie. Ja nie żądam za to żadnej nagrody, ale twoja nieufność tak mnie martwi, że nie umiem tego wysłowić.

Powiedziawszy te słowa oddaliłem się i poleciłem mej domniemanej małżonce, aby w Desirée dalej wmawiała nieufność dla męża. Naturalnie, że dałem jej jak najlepsze wskazówki.

Wieczorem zabrałem hrabiego z sobą do kawiarni i poleciłem swej pomocnicy, aby młodą małżonkę w tym czasie odwiedziła.

Zastała ona Desirée bladą i zapłakaną, pochyloną nad haftem.

— O, ci mężczyźni — rozpoczęła moja pomocnica rozmowę, ty nawet nie wiesz moja kuzyneczko, ile przykrości sprawił mi dziś mój mąż, a przecież jest zresztą niezwykle dobry. Ale odkąd ta Wiktoria tu jest, poznać go nie mogę, psuje wszystkich mężczyzn, a ona mogłaby sobie tę pracę darować, bo wszyscy mężczyźni są zepsuci.

— Są również i wyjątki — odpowiedziała Desirée stanowczo.

— Czy to twój małżonek jest takim wyjątkiem? — spytała ją kobieta przybyła w gościnę z uśmiechem szyderskim.

— Bez wątpienia — odparła Desirée — ale oprócz niego, jest jeszcze wiele innych takich. Nie mogę w to uwierzyć, aby mężczyźni byli tak zepsuci, jak ty to twierdzisz. Mój małżonek naprzykład, niepopełniłby nic niesłusznego.

— To zależy od tego, jakie kto ma pojęcie o tem, co słuszne, lub niesłuszne — odparła starsza kobieta, bawiąc się motyczkami młodej hrabiny. — Czy oszukaństwo jest czemś słusznem?

— Bynajmniej i to czemś bardzo niesłusznem — odparła Desirée — ale mój mąż nigdy się czegoś podobnego nie dopuścił.

— O biedne dziecko, biedne oszukane serce — mówiła hipokrytka. — Czy nie chciałabyś się dowiedzieć, jakie niebezpieczeństwo mój małżonek od ciebie odwrócił?

Teraz prosiła Desirée, aby jej kuzynka opowiedziała wszystko szczerze.

Po krótkim udanym wahaniu się rozpoczęła opowiadanie:

— Twój mąż chciał cię tylko pozornie poślubić. On myśli, że jest z tobą pozornym ślubem związany, ale istotnie jest on prawnym twoim małżonkiem. Że ślub odbył się prawnie, masz tylko memu małżonkowi do zawdzięczenia.

— To jest bezczelne kłamstwo — rzekła Desirée wzburzona.

— No to chodź ze mną do księdza, który świętej ceremonii dokonywał, a on moje słowa potwierdzi — odrzekła druga. — Dlaczego opierał się przytem, żeby o ślubie, ani twoi ani jego krewni nie wiedzieli? Czy może z obawy przed wujem? Przecież on mu zresztą tak obojętny, jak zeszłoroczny śnieg.

On żyje w przekonaniu, że jesteś jego kochanką i obawia się szpady twego wuja i wyrzutów swoich krewnych.

Wszystka krew znikła z twarzy Desirée.

— Chodź — rzekła cicho — pójdziemy do owego księdza.

Starsza kobieta udawała, że chce ją odwieść od tego zamiaru, ale Desirée obstawała przy swojem.

— Albo bylabym żyła w szczególnej nieświadomości — mówiła — a skoro już obudzono we mnie świadomość, to chcę poznać całe swe nieszczęście.

Obie kobiety udały się do księdza a ten potwierdził zeznania starszej i zdawało mu się, że najczystszą prawdę mówi, poczem rzekł:

— Pociesz się, moja córko, jesteś nierozerwalnym węzłem złączona ze swym mężem.

Kobieta, która dobrowolnie stała się mojem narzędziem, opowiadała mi później, że wrażenie, jakie te słowa wywarły na Desirée, było przygnębiające, zmiażdżyło ją wprost.

Kapłan próbował ją pocieszyć, ale daremnie, nie słyszała nawet, co mówił. Towarzyszka zaprowadziła ją do domu.

— Ale, kochana przyjaciółko — mówiła do nieszczęśliwej przyjaciółki — nie pokaż swemu małżonkowi, żeś go przejrzała. Zbierz całą swoją dumę na pomoc. Widzisz przecież, że znowu wpadł w sidła tej Wiktorii, a podczas gdy ty rozpaczasz, on bawi się z nią wyśmienicie.

— Cóż mam uczynić? — spytała nieszczęśliwa kobieta, załamując ręce.

— Idź na jakiś czas do swego wuja — radziła jej przyjaciółka.

— Nigdy na świecie. Ja go oszukałam i podeszłam, bo bez jego zezwolenia zawarłam ten ślub — odrzekła Desirée — nie mogę się jemu teraz ani na oczy pokazać.

— A więc umieszczę cię u swojej znajomej — zaproponowała domniemana kuzynka.

Takie małe rozłącznie będzie bardzo dobre dla ciebie i twego małżonka.

Desirée, która myślała, że jest oszukaną i tylko niechętnie byłaby się ze swym mężem spotkała, zgodziła się na tę rozłąkę.

Obie kobiety przybyły do mieszkania młodego małżeństwa, moja pomocnica zapakowała rzeczy Desirée i przeniosła ją do domu swoich znajomych, oddalonego o kilka mil od miejsca kąpielowego, a potem sama powróciła.

Głos chorego słabł coraz bardziej, w końcu tak był cichy, że Arnold z całym natężeniem słuchać musiał, aby zrozumieć. Podał mu lekarstwo, natarł mu skronie wodą kolońską, a umierający mówił dalej z wielkiem natężeniem:

— Hrabia wściekał się ze złości, gdy mu moja przyjaciółka oznajmiła następnego dnia, że go żona opuściła. Naturalnie, żeśmy starannie ukrywali powód, dla którego go małżonka opu-



Rzut oka na ogromną kopalnię diamentów w Afryce południowej.

ściła. Daliśmy mu do zrozumienia, że Desirée żałowała, iż wyszła za chorego człowieka, który prócz tego zależnym był od szczodrobliwości swojego stryja.

Zdaje się, że żal jej było i że wróciła do klasztoru, — powiedziałem. — A może do wuja wróciła? — przypuszczała moja przyjaciółka.

— Ale pan jej nie zdradzi przed wujem, hrabio. — Jej wuj jest bardzo porywczy i gotów ją ciężko ukarać za to, że bez jego pozwolenia wyszła zamąż. Prawda, że pan ją nie oskarży, hrabio?

Te słowa uważał hrabia jako obrazę dla siebie i nie odrzekł na to ani słowa, lecz wyszedł z pokoju.

Jeszcze tego samego dnia wyjechał. W kilka tygodni później dowiedziałem się, że zakończył życie na wybuch krwi.

Jego krewni nie wiedzieli wcale o tym, że on był żonaty.

Po wyjeździe Desirée, oddalił on natychmiast kamerdynera Francuza, który był z nim w owym miejscu kąpielowym, gdyż hrabia nie chciał mieć przy sobie człowieka, który był wtajemniczony w jego stosunki familijne.

Dopiero, gdy wyjechał do miasteczka, odległego od owego miejsca kąpielowego, przyjął sobie nowego sługę, który nic o jego przeszłości nie wiedział.

Ja starałem się taić przed młodą wdową śmierć jej męża, którego przedstawiłem, jako niewiernego i obojętnego.

Zadawałem sobie przymus, aby nie zdradzić swojej dla niej namiętności, ale w jednej słabej chwili dałem się jej porwać i wyznałem Desirée swoją gorącą dla niej miłość.

Ona spojrzała na mnie z oburzeniem i wyrzutem, odepchnęła mnie i wybiegła z pokoju. Zamknęła się w innym pokoju. Daremnie prosiłem i błagałem o wstęp do niej a potem o przebaczenie.

Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

Zawiedziony i zdesperowany opuściłem o późnej godzinie dom.

Niepokonany niepokój opanował mnie.

Następnego poranku powróciłem dręczony troską i obawą o Desirée, ale jej nie zastałem więcej. Znikła nie wiadomo gdzie.

Szukałem zrozpaczony.

Wkrótce dowiedziałem się od jednego z tajnych agentów, których pomocy szukałem, że Desirée udała się do swego wuja, aby go przebłagać, ale że ją stary szorstko wyprosił za drzwi.

Nieszczęśliwa szukała schronienia w klasztorze, w którym się wychowała, ale bramy klasztorne dla niej się nie otwarły, bo przełożona dowiedziała się tymczasem, jaką rolę odgrywała ta kobieta, która się jako moja żona przedstawiła i podejrzywała, że Desirée wiedziała o tym i że działała w porozumieniu z nami.

Gdy ją w klasztorze nie przyjęto, odeszła biedna istota w rozpaczy.

To był ostatni ślad, jaki o niej odnalazłem.

Przeszukałem całą Francję i nie znalazłem po niej ani śladu.

Majątek straciłem na tajnych agentach, którzy mieli ją odszukać, ale nadaremnie.

Zaniedbywałem twoją matkę, nie wypełniałem obowiązków godnych wzorowego męża i dobrego ojca, rzuciłem się w wir brudnych i niskich zabaw, aby Desirée zapomnąć. I to daremnie.

Ośmnaście lat minęło, odkąd tę piękną nieszczęśliwą kobietę ostatni raz widziałem, a jeszcze zachował się jej obraz świeżo w mojej pamięci.

Może żyje w nędzy, może ciężko zarabia na życie pracą swych rąk.

Mój synu, mój synu! Jeżeli chcesz zasłużyć na błogosławieństwo swego grzesznego ojca, to odszukaj tę nieszczęśliwą kobietę, podziel się z nią majątkiem, wynagródź jej, jak tylko będziesz mógł tę wielką krzywdę, jaką jej wyrządziłem.

— Wymień mi jeszcze nazwisko jej męża — rzekł Arnold.

— Ernest hrabia Wildenstein — wyszeptał umierający.

— Przysięgam ci, że ją będę szukać i znajdę, jeżeli tylko żyje — odparł uroczyście Arnold.

Książę uścisnął mu dziękczynnie rękę.

Siły jego już i tak słabe, wyczerpały się tym wysiłkiem zupełnie. Chciał jeszcze kilka słów dodać, ale głos jego tak ochrypł, że tylko niewyraźne dźwięki wydawały jego usta.

Agonia rozpoczęła się.

W pół godziny później klęczał Arnold, modląc się przy zwłokach swego ojca i ślubował uroczyście, że wypełni ostatnią wolę i życzenie zmarłego.

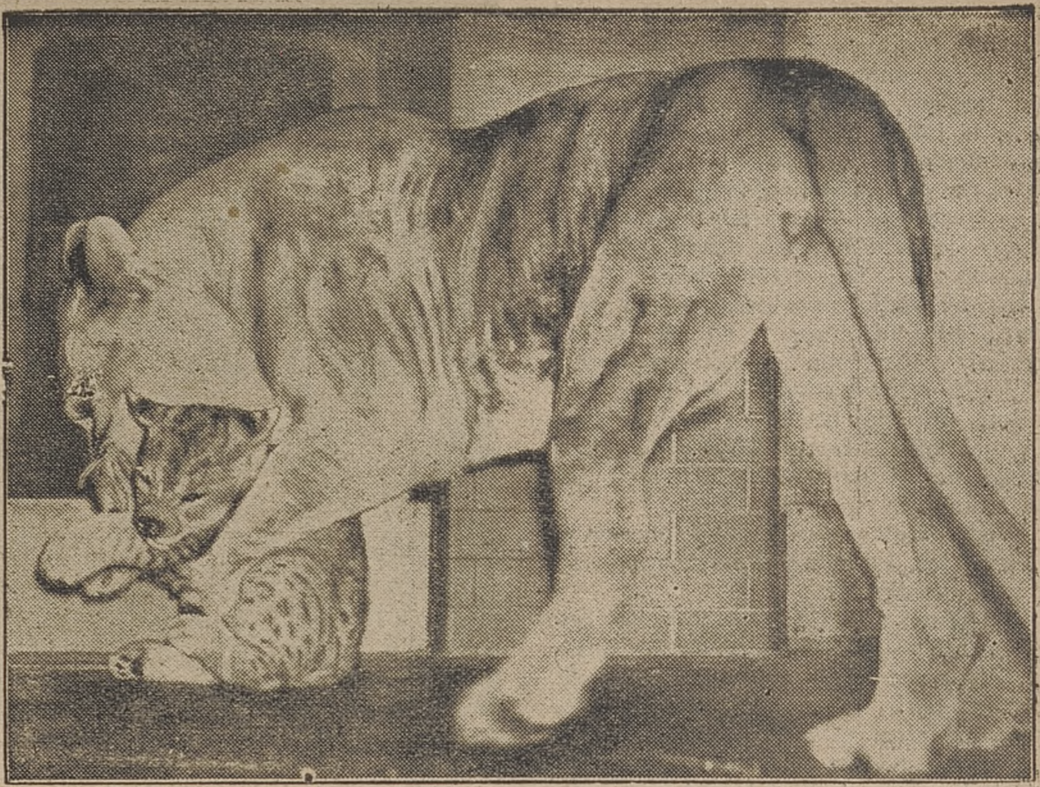
ROZDZIAŁ XXXV.

Przykre pytania albo skrucha

W skromnym, ale miłym pokoju górskiego domku, siedziała mała rodzina razem.

Na dworze padał deszcz i uderzał dużymi strumieniami o ziemię, był to wieczór przed powodzią.

Adelajda siedziała z robotą przy lampie, Marcin na ławce pod piecem palił fajkę, a Hortensja siedziała na uboczu w półcieniu.



Maleństwo trzeba ułożyć do łóżeczka...

Jej gitara leżała na kolanach, ale ona wydobywała z niej od czasu do czasu urywane akordy.

— Adelajdo — zawołała nagle młoda dziewczyna, przerywając tem panującą tu ciszę. — dlaczego nie opowiadasz mi nigdy nic o moich rodzicach?

Na zwiędłej twarzy starzejącej się kobiety ukazał się lekki rumieniec. W oczach jej był dziwny wyraz niepewności i trwogi.

— Dziecko — powiedziała wymijająco — niech oni odpoczywają w spokoju, gdyż dawno już, jak poumierali.

— Ale przecież cieszymy się, jeżeli nam kto o drogich zmarłych mówi — rzekła nalegając Hortensja. — Nie mogę sobie nawet wyobrazić ich. Nigdyś mi nie mówiła jak wyglądali, nigdyś mi w życiu nic nie mówiła o nich. Droga nazwa rodziców, jest dla mnie tylko fantazją. Opisz mi przynajmniej moją matkę.

— Jesteś do niej podobna, jak dwie krople wody — odrzekła Adelajda niechętnie.

— Biedna mama, tak wcześnie umarła, ale jak to się stało, że ty i Marcin zaopiekowaliście się mną? — pytała dalej.

— Znaliśmy twoją matkę i kochaliśmy ją, dlatego wzięliśmy jej pozostałe dziecię do siebie — odrzekła Adelajda, nie patrzyła jednak w jasne, piękne oczy swej pupilki.

— Jak to miłosiernie i poczciwie z waszej strony — zawołało młode dziewczę wzruszone. — O, ileż winnam wam wdzięczności. Jak staraliście się o mnie z taką miłością.

Tylko jednego życzenia nie spełniłaś mi nigdy, Adelajdo. Tak tęskniłam zawsze za jakąś towarzyszką, a zawsze byłam sama. Odkąd opuściliśmy miasto i tu przybyliśmy, nie wolno mi było z nikim mówić tylko z tobą i z Marcinem, a poza ogród nigdy nie wyszłam. A jak chętnie byłabym nieraz rozmawia-

ła z innymi dziewczętami, jakbym się chętnie pośmiała i pożartowała, a jak mi żal, że ani razu w góry wybrać się nie mogłam. Przecież tak blisko je miałam, a tak trudne były dla mnie do osiągnięcia. Dlaczego mi więcej wolności nie dajesz, Adelajdo?

— O dziecię — odrzekła Adelajda — działo się to dla twego dobra i dla dobra innych. Nie pytaj więcej! Sprawiasz mi wielką przykrość swymi pytaniami, gdyż nie mogę ci na nie dać odpowiedzi. Czy nie chcesz wypocząć? Chodź, odprowadzę cię do twego pokoiku! Już dawno nie czesałam twoich pięknych włosów. Dziś wieczór zaczeszę cię i wyszczotkuję ci włosy, tak jak to lubisz.

Młode dziewczę wstało i objęło swymi białemi, tak kształtnemi ramionami, szyję swej opiekunki.

— Dobra Adelajdo — mówiło ono serdecznie — nie gniewaj się na mnie, nie chciałam ci przykrości sprawić. Miałam takie różne wątpliwości, że chciałam, abyś mi je wyjaśniła. Ale ponieważ nie możesz tego uczynić, więc ci już żadnych pytań zadawać nie będę tylko sobie pomyślę, co byłoby się stało z biedną opuszczoną sierotą, gdyby nie wasza litość nade mną.

— Nie ma o czem mówić, odrzekła Adelajda zakłopotana.

Jej ostre rysy złagodniały, oczy załzawiły się. Ze wzruszeniem patrzyła jak Hortensja zbliżała się do jej męża, uściskała go, pieściła i dziękowała mu za jego opiekę. Ale i Marcin był tym zakłopotany. Głaskał swą szorstką ręką bujne włosy dziewczęcia i mówił:

— Nie dziękuj mi, moje złote dziecię. Ty byłaś moją jedyną pociechą w życiu.

Nakoniec zaprowadziła Adelajda Hortensję do jej pokoiku. Stara kobieta zapaliła różową ampułkę, zamknęła okna, którymi wchodził z ogrodu zapach róż i zamknęła ciężkie dębowe okiennice.

W różowym świetle ampułki wydał się pokoik Hortensji bardzo uroczy. Nad łóżkiem jej zwieszały się śnieżne białe firanki. Oprócz tego były tam bardzo piękne meble, półka na książki, na której był bardzo piękny wybór tychże, a na ścianach wisiały obrazy.

Te książki, obrazy i inne ozdobne rzeczy, skupywał Marcin dla ukochanej dziewczynki, aby temu, jak ją nazywał, więzionemu ptaszkowi osłodzić jego samotność.

O tej jego dobroci myślała Hortensja, gdy Adelajda włosy jej czesała i wyrzucała sobie swoją skrytość, gdyż nie wspomniała swoim przybranym rodzicom nic o odwiedzinach Leona. Myślała o tym, czyby im teraz nie powiedzieć, ale obawa, że to wyznanie mogłoby ją na zawsze rozdzielić z Leonem, zamknęła jej usta.

Gdy Adelajda wychodziła z jej pokoju życząc dobrej nocy, ucałowała ją Hortensja i prosiła szczerze: nieprawdaż Adelajdo, że mi przebaczysz, jeżeli cię kiedy zasmuciłam.

— O nierozumne dziecię — odpowiedziała starsza niewiasta ze zdziwieniem, ale łagodnym tonem — czem ty sobie dziś głowę zaprzątasz! Możesz spać spokojnie, boś mnie nigdy nie zmartwiła.



Młody król egipski Farruk urządził krótką podróż, podczas której zatrzymał się również w Kafr-el-Cheikt, gdzie położył kamień węgielny pod nowy meczet. Za królem widzimy 2 młode księżniczki Fauzę i Faizę.

Zamyślona, udała się Adelajda do sypialnego pokoju, po którym chodził Marcin szybkim krokiem.

— Adelajdo — powiedział Marcin — dziś kłamaliśmy oboje wobec dziecka. Bóg jeden wie jak było mi ciężko na sercu, gdy mi dziękowała za miłość. Przecież ja byłem raczej jej dozorcą więziennym!

— Ale czyż możemy inaczej działać? — odpowiedziała Adaleida. — Czyśmy nie złożyli świętą przysięgę, że dziecko trzymać będziemy w ukryciu? Czyśmy się przytem nie starali jej tę smutną dolę osłodzić? Czyśmy ją nie kochali i nie strzegli jak oka w głowie?

— Czy myślisz, że te słowa przygłuszą głos mego sumienia? — mówił Marcin tak gwałtownie, że nikt by nie poznał w tej chwili tego, zresztą tak łagodnego człowieka. — Wprawdzie wiem, że wypełniamy ten obowiązek nałożony nam przez naszą panią i dobrodziejkę, ale tym obowiązkiem obciążamy nasze sumienie wobec Hortensji.

Pozbawiliśmy ją szczęśliwego dzieciństwa; czyż mamy ją pozbawić i innych uciech życia? Czy całe swe życie ma przepędzić w więzieniu? Dlaczego to biedne, czyste i niewinne dziecię pokutuje za grzechy innych?

Marcinie — zawołała Adelajda — ty masz zupełną słuszność, ale my musimy to czynić co nam z góry nakazują. Rozkazano nam ukrywać Hortensję w samotności, dokąd nie otrzymamy nowego polecenia, a którego jeszcze do tej pory niema.

Tym bardziej musimy słuchać, żeśmy nagrodę wzięli naprzód. Nie jest w naszej mocy zmienić los Hortensji. Musimy ją oddać opiece Boga i Jemu zaufać. On nie pomści grzechu rodziców na niewinnem dziecku.

Ale Adelajdzie nie udało się uspokoić męża. Biadał on ciągle nad smutnym losem Hortensji i przeklinał samego siebie za to, że wziął na siebie rolę dozorcy więziennego wobec niej.

— Jedno złe, pociąga za sobą inne — mówił głucho. — O, dlaczego dałem się skusić i naruszyłem własność swego pana? Gdy byłem w największej potrzebie i groziło mi więzienie i hańba, uważałem to za nadzwyczajną łaskę Boga, gdy hrabina ofiarowała sumę, która pokryła deficyt. W takiej rozpaczy byłem, że byłbym jakąkolwiek nową zbrodnię popełnił, byleby tylko zatrzeć ślady swego postępku i ujść zasłużonej karze. Wtenczas myślałem, że tę małą nie będzie trudnością strzec, biednego wypchniętego dziecka i z radością i lekkiem sercem wziąłem na siebie ten obowiązek.

Dopiero później, gdy dziecko polubiłem, zrozumiałem jak ciężko wobec niego zgrzeszyłem. Pozbawiłem ją przyjemności dziecinnych, swobody i wesołości, bo trzymałem ją w strasznym więzieniu! O jakżeż często myślałem, że stokroć lżej by mi było znosić zasłużoną karę, bo lepiej być biednym więźniem, niż srogim dozorcą więziennym.

Powiedziawszy to, zakrył twarz rękoma i wzdychał głęboko.

Żona patrzyła na niego ze współczuciem.

— Nie dręcz się tą bezowocną skruchą — mówiła łagodnie. — Co się stało, to się nie odstanie. Ten jeden fałszywy krok odpokutowałeś całym szeregiem lat życia bez zarzutu. Przypomnij sobie, że gdyś się wtedy wahał przyjąć propozycję hrabiny, zgodziłeś się na nią tylko za moją namową. Gdyby cię byli uwięzili, cóżby się było stało ze mną, twoją biedną opuszczoną żoną? Dodaj sobie odwagi, Marcinie! Przecież hrabina mogła była natrafić na gorszych dozorców Hortensji, aniżeli ty i ja. Okazywaliśmy dziecku miłość i przywiązanie. A przecież setki innych ludzi byliby ją uważali tylko jako środek do zdobywania pieniędzy.

Adelajda mówiła jeszcze dalej w tym kierunku i myślała, że złagodzi i uspo-

(Ciąg dalszy na str. 935)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

ADRESY!

O adresy, celem przesłania listów, znajdujących się w redakcji są proszeni: „Leśniczanka z pod Jarocina" — „Minerwa z Hultajskiej Trójki" — „Harold Lloyd" — „Wesoły Człowiek" — „Irka z Torunia" — „Lotos" — „Samotna Kukułka" — „Marek" — „Jasne Słoneczko" — „Niebieskooka Torunianka" — „Armida" — „Babinicz" — „Psychoanaliza" — „Owambo".

ROZUMIEM CIĘ...

„Roześmiana Ziuteńka". Przykro mi, Kochanie, że spotyka Cię znów przykrość i to wielka. Rozumiem Cię — smutno i ciężko żyć bez pracy, którą się polubiło i która w dodatku była pomocą finansową dla rodziny. Życie płata niemiłe figle, prawda? Ale pamiętaj, że nigdy nie należy poddawać się rozpaczy. Głowa do góry! Trzeba wierzyć mocno, że po złej chwili nastąpi znów radosna, dobra i rozjaśni horyzont życia. Bądź dzielną, jak dzielną okazałaś się poprzednim razem — czym mi sprawiłaś, dodając nawiasem, wielką przyjemność.

Wszystko się jeszcze ułoży. Uzyskasz pracę i korespondencja z miłymi Czytelniczkami nawiąże się na nowo.

A jak ci będzie znów ciężko i źle napisz do mnie, napisz o wszystkim, co Cię absorbuje, co boli i cieszy.

A teraz dla „Siostrzyczek" i „Braciszków".

„Hallo! T. Kowalewski z N-ctwo Dułowo! Felkow, jeżeli sobie mnie przypominasz, napisz kilka słów. Czekam"!

„Rozśpiewana i roztańczona Pomorzanka". Ktoś znany Ci z Sępólna przesyła pozdrowienie"

„Możeby „Sonia" napisała kilka słów do mnie, a chętnie jej odpiszę".

„Hallo" czy mógłby mi ktoś wypożyczyć do czytania książkę Mniszkówny „Gehenna". Oddam z podziękowaniem z powrotem, a bardzo będę wdzięczna".

Ponadto pozdrowienia dla „Przedwiośnia" — „Czarnulki z Świecia" — „Aniteńki" i „Dzinki" z serdeczną prośba o list. Tak samo proszę o list „Czarnobrewę II."

SAMOTNOŚĆ I BRAK ŻYCZLIWEJ OSOBY

„Carmen". Pierwszy list Pani oczywiście odebrałam. Na odpowiedź musiała Pani nieco poczekać, gdyż setki listów nie pozwalają mi natychmiast odpowiadać na każdy otrzymany list.

Do „Krainy" przyjmuję Panią z radością i wierzę, że w naszym gronie, znajdzie Pani to, czego szuka daremnie wśród swego otoczenia. Życzę szczerze i zamieszczam niżej Pani liścik:

„Czytając dział „Krainy", spostrzegłam, że panuje w niej wielka harmonia, że istnieje w niej wielkie bratersko — siostrzane uczucie.

Przedstawiam się więc i ja milutkim mieszkańcom „Krainy".

Jestem małą, ale zgrabną dziewczynką. Włosy mam koloru kasztanowego i wielkie, zielone, jak u kota, oczy. Na moim nosie (ach!) jest miernej wielkości republika, może nawet królestwo piegów, które zimą gdzieś znikają.

Usposobienie posiadam pogodne, z malutkimi tylko zachmurzeniami.

Lubię — pachnące sosnami lasy. Najdziksze urwiska mają dla mnie urok, bo uwielbiam to, co natura stworzyła sama, bez pomocy ludzkich rąk. Czuję się w swoim żywiole, gdy mogę wsiąść na konia i puścić się z wichrem w zawody... wiatr wtenczas gra mi najcudowniejsze melodie, to znowu świszcze, że aż uszy mnie bolą.

Ostatnio czuję się bardzo osamotniona i czekam na to, co zwiemy bratnią duszą. Może znajdę ją w „Krainie"?

Bardzo serdeczne pozdrowienia przesyłam „Helenie" — „Romie" — „Blance" — „Cisowi" — „Ikarowi III." i „Markowi". (Czy „Ikar III." nie zechciałby nawiązać ze mną wymiany myśli?)"

HALLO! WOŁYŃ I POLESIE!

„Jemioła". „Jestem młoda, wykształcona na samodzielnym stanowisku. Mieszkam w małym, brzydkim, prowincjonalnym miasteczku, gdzie brak wszelkich rozrywek kulturalnych i wprost drażniąco czuje się samotność.

Która z Czytelniczek (niewykluczeni również Czytelnicy!) niekoniecznie miła, lecz samotna i głęboko inteligentna — najchętniej z dalekiego, smutnego Polesia czy Wołynia — zechce zająć swoje i moje długie, ciche, zimowe wieczory listowną wymianą myśli o tematach aktualnych, niech napisze do mnie.

Jeżeli która z starszych Pań zechce zaryzykować korespondencję — będzie mi szalenie miło".

Droga „Jemioło"! Apel Pani jest tak obszerny i jasno zredagowany, że nie potrzebowałam wprowadzać do niego żadnych zmian. Zamieściłam go tak, jak Pani nadesłała. Miłe pozdrowienia odwzajemniam szczerym uściskiem dłoni!

NIE WIEM...

„Czarnobrewka". Jak zdążyłam zauważyć, sprawa zamieszczenia mojej fotografii, stała się „problemem dnia". Czy jednak pokażę się na zdjęciu — nie wiem, „Czarnobrewko", gdyż znacznie więcej Sympatyków woli, abym pozostała tajemniczą.

Dziękuję Ci, Maleńka, za wszystkie dobre słowa, za życzliwość i serdeczność — mocnym uściskiem dłoni.

KTO WYPOŻYCZY KSIĄŻKĘ?

„Miłośnik kobiet". Przykro mi bardzo, że prócz kilku dobrych słów, nie mogę nic więcej Panu dać. To, co chciałabym zrobić dla Pana, nie leży w mej mocy, niestety... Radzę jednak Panu podwoić starania o pracę i wierzyć, że zawsze źle nie będzie. Proszę, niech Pan nadal o mnie pamięta i przyjmie ode mnie bardzo serdeczne pozdrowienia.

Zakończenie listu Pana zamieszczam:

„Zasyłam miłe pozdrowienia dla wszystkich Czytelników „Moich Powieści". Osobne dla: „Tereni z pod Wrześni" — „Wa - Li" — „Elżuni" — „Czarnulki z Grudziądza" — „Czarnulki ze Świecia" i „Dwóch Dziewczynek z Działdowa".

Równocześnie zapytuję, czy ktoś z Czytelników nie mógłby mi pożyczyć książki: „Porwana w noc poślubną" — Witolda Gutowskiego?"

SOBOWTÓR IGO SYMA W „KRAINIE"

„Sym". Właściciel powyższego pseudonimu, jak potwierdza jego kolega, jest 100 proc. mężczyzną i sobowtórem Igo Syma. W całym zachowaniu „Syma" jest podobno coś, co Mu zjednuje całe otoczenie. Liczy lat 25. Pragnie gorąco korespondować z Sympatyczkami „Krainy". Serdeczne pozdrowienia zasyła „Smutnej Hance" i „Nie — biednej".

„ODPOWIEDŹ MUROWANA!"

„Samotna Maruta" pisze: „Jestem sztytnką o niebieskich oczach, lat mam 17, nieraz potrafię być wesoła, ale także, gdy trzeba poważną. Lubię śpiew, muzykę, taniec i wszystko to, co jest pięknem i prawdą. Czy znajdzie się w „Krainie" jakaś bratnia dusza i napisze choć krótki liścik? Odpowiedź murowana!"

Bratnia dusza znajdzie się napewno, miła „Samotna Maruto". „Kraina" ma przecież tylu sympatycznych zwolenników, którzy niewątpliwie zainteresują się przemiłym stworzonkiem, mieszkającym w małym, cichym, nudnym miasteczku.

Będzie mi miło, jeżeli mi Pani doniesie o nawiązaniu kontaktu z którymś z Czytelników i jeżeli dowiem się więcej o Pani.

Za pozdrowienia serdecznie dziękuję!

NIE ŻAŁUJ...

„Lu". Nie żałuj, Droga „Lu", że życie dało Ci poznać swoje bolesne strony. Człowiek, który przeszedł lekko przez życie, nigdy nie będzie potrafił powiedzieć, tak, jak Ty powiedziałaś: „Chciałabym nieść słońce w dusze smutnych ludzi, bo wiem, co to ból..." Czujesz wielką litość dla smutnych ludzi, a ta litość nie wypływa z czego innego, jak właśnie z serca, które cierpiało. Powtarzam więc jeszcze raz: nie żałuj, że życie było dla Ciebie niełaskawe, bo przecież starą jest, jak świat, ta myśl, że „owoc doświadczenia jest gorzki, ale zdrowy". Wszak prawda, „Lu"?

Do P. A. K. możesz śmiało napisać, sprawisz mu wielką przyjemność. List skieruj, proszę, na moje ręce, a ja go przekażę dalej.

Za śliczne uśmiechy — dziękuję i tulę Twoją kochaną, smutną główkę.

Dopisek zamieszczam:

„Załączam pozdrowienia dla „Sarenki Czarnookiej" — „Akri" — „Samotnej Sosenki" — „Wisi - leśniczanki" — „Borusa Nadbrdziańskiego" — „Jura" i „Fali Noteci".

„Białej Uajali" ślę serdeczne pozdrowienia. Daruj, że nie napisałam. Czy mogę pomimo wszystko napisać do Ciebie z nadzieją, że otrzymam odpowiedź?

„Dalu"! Czy to już naprawdę koniec? Ślę serdeczne pozdrowienia.

Panie Bogdanie, sprawdziły się słowa Pana. Nauczyłam się uśmiechać, choć serce rwało się na strzępy. Ale ufam, że to już minęło. Proszę do mnie napisać, mieszkam jeszcze zawsze w lesie".

„CZUJĘ SIĘ SAMOTNĄ, JAK PUSTELNICA"...

„Nieznajoma Blondynka 1.125". Jeżeli Pani smutno, to postaram się, aby było radośniej. Ide alnym lekarstwem na to będzie ciekawa i żywa wymiana myśli z nieznajomymi. Zachęcam więc Sympatyczki i Sympatyków, aby „Nieznajomej Blondynce" przesłali na Gwiazdkę listy — tak słodkie, jak cukierki i tak radosne, jak barwne, świąteczne choinki. Czy zgoda?

A teraz coś nieco o naszej nowej Sympatyczce: Otóż „Nieznajoma Blondynka" jest młodą, inteligentną dziewczynką. Mieszka na wsi, samiuteńka, jak pustelnica", jak pisze w liście. W życiu ceni dwie rzeczy: szczerość i wielkie, prawdziwe piękno. To wszystko — Ci, którzy zainteresują się bliżej „Nieznajomą Blondynką", dowiedzą się więcej od Niej samej.

DZIĘKUJĘ!

„Karina". Za śliczny odruch pamięci — dziękuję serdecznie! Pozdrowienia odwzajemniam!

KORESPONDENCJA

„Leszek z Zielonej Doliny". Przesyłam dzisiaj Panu znowu kilka słów... Nie wiem, czy sytuacje u Pana zmieniły się, ale to wiem, że jeszcze nie spełniło się u Pana to, co miało. Cierpliwości — jeszcze trochę cierpliwości, a wszystko będzie dobrze. Pamiętam o Panu, przeprowadzam usilne starania, aby pomóc Panu. Portret mój, w interpretacji Pana, wypadł bardzo trafnie — byłam mile zaskoczona. Za piękne życzenia — dziękuję Panu.

Wierszyki nie udały się, może następne będą lepsze?

A teraz jeszcze kilka słów Pana:

„Kalinie" — „Jadźce z Kujaw" i p. M. Choszczowi — ślę moc pozdrowień. „Dumką" — „Aniteńką" i „Duśką" jestem zachwycony — zasyłam tym Paniom szczere uściski dłoni. To samo ślę „Dzikusce z Abisynii" i „Czytelniczce z Grudziądza". Która z Pań lub Panów zechce nawiązać ze mną bezpośrednią korespondencję?"

KTO NAPISZE DO „JAGÓDKI"?

„Jagódka". Ależ tak, należy już Pani do grona Sympatyków „Krainy" i myślę, że będzie się Pani dobrze czuła wśród nas, że spotęgujemy tę przyjemność, jaką odczuwa Pani, czytając „Moje Powieści".

A teraz przedstawiam Panią „Jagódka" jest młodą osóbką o ciemnych oczach i włosach, bardzo wesoła i pogodna. Lubi muzykę, śpiew, sport, przyrodę, marzy o podróżach i kocha pracę. Mam dla Pani za to ostatnie szczególne uznanie. Praca to jeden z najwartościwszych czynników życia.

Kto napisze do „Jagódki"?

NIE ZAPOMINAM...

„Wandzia z B." W chwilach rozterki i psychicznych załamań — szczęściem jest mieć obok siebie kogoś drogiego i dobrego, dlatego rozumiem Panią. Zwierzenia Pani były tak szczere i równocześnie osobiste, że nie mogłabym ich wydobywać na światło dzienne — niepotrzebnie więc oto obawiała się Pani. Łączę serdeczne uściski i nie zapominam oddać do przedruku słów Pani:

„Moc serdecznych pozdrowień ślę komuś z Bydgoszczy. „Cisowi" serdecznie dziękuję za życzliwe słowa i pozdrawiam wszystkich Sympatyków „Krainy".

PRAWDA ŻYCIA ZAWSZE WZRUSZA I ZACHWYCA...

„Przedwiośnie". Sztukę sceniczną — „Matura" — znam bardzo dobrze. I mnie wzruszyła ona, podobnie, jak Ciebie. Fakty i postacie związane z tymi faktami, są przecież wyjęte z życia. I ja i Ty, Droga Dziewczynko, przeżyłyśmy tyle lat obok tak pięknych dusz, jak prof. Mątne i ciekawych, jak dusze innych prof. czy uczenic. To, co przewija się na scenie podczas „Matury", to nic innego, jak tylko prawda, wielka prawda życia. Dlatego też „Matura", tak ogromnie wzrusza nas i... zachwyca.

Przyjm ode mnie, Drogo Dziewczynko, serdeczne pozdrowienia i napisz kiedyś do mnie znowu.

Apel zamieszczam:

„Pragnęłabym nawiązać korespondencję z jakąś miłą Sympatyczką z Gniezna. Piszcie więc do mnie, Miłe Gnieźnianki, a sprawicie mi radość.

„Lawrence"! Brawo! Jestem tego samego zdania co i Ty, jeżeli chodzi o korespondencję. Mam szczerą chęć podyskutować z Tobą, ale... może nie zechcesz? Przyjm ode mnie serdeczne pozdrowienia!

„Czerwona Róża"! Dlaczego milczysz? Cóż u Ciebie, Kochanie, nowego? Może napiszesz do mnie?"

„CENIĘ TYLKO SZLACHETNE CHARAKTERY"

„Hanusieńka I." Uśmiecham się do Ciebie, „Haniusieńko" i ślicznie dziękuję za ogromnie dobry i ogromnie życzliwy liścik. Słowa Twoje nie przeminą u mnie bez echa, będę je pamiętała i starała podobać się jeszcze więcej „Hanusieńce".

Na zakończenie ślę Ci, Dziewczynko mocny uścisk dłoni i przedrukowuję Twoje życzenie. Oby spełniło się i gwiazdor nie zapomniał, razem z innymi podarkami, przynieść Ci kilka przemiłych liścików.

„Chętnie nawiążę korespondencję z jakimś prawdziwym, w całym tego słowa znaczeniu, człowiekiem. Cenię tylko szlachetne charaktery, a więc szukam takich"...

CHCIAŁABYM WIEDZIEĆ WIĘCEJ...

„Szatyn o kocich oczach". Do prośby Pana odniosłam się oczywiście jak najprzychylniej. Do „Krainy" przyjmuję Pana, ale wzamian proszę Pana o napisanie obszerniejszego listu, bo de facto, prócz tego, że posiada Pan kocie oczy, ciemne włosy, wąsy i bardzo miły styl pisania nic jeszcze o P. nie wiem. No, a jako ko bieta (płeć z natury zwykle ciekawsza!) chciałabym wiedzieć jeżeli nie wszystko, to przynajmniej coś. Serdecznie pozdrawiam!

POZDROWIENIA

„Ryśka D." przesyła serdeczne pozdrowienia „Duśce", p. Skudlapskiemu (Afryka) i „Esperantyście z Poznania". Ostatniego Pana zapytuję, czy z korespondencji już zrezygnował?

„MOŻE KTÓRAŚ Z SYMPATYCZEK ZAINTERESUJE SIĘ MOJĄ OSOBĄ?"

„Solidny". „Znudzony jednostajnością prowincjonalnego życia, postanowiłem i ja wstąpić w szeregi przemiłych Sympatyków „Krainy". Może któraś z Sympatyczek „Krainy" zainteresuje się moją osobą i skreśli do mnie parę słów? List taki ucieszy mnie bardzo!

Mam lat 24, wzrost średni, charakter „możliwy..."

UŚMIECHNIJMY SIĘ RÓWNIEŻ...

„Uśmiech". Musi Pan być naprawdę miły, sądząc z listu. Taki wesoły, młody chłopiec uśmiechający się do świata ponurego czy jasnego do trudności i powodzeń życia, do natury i wycieczek — a szczególnie jasno i mile do Sympatyczek i Sympatyków „Krainy". Z przyjemnością wprowadzam Pana do naszego grona i życzę na wstępie, aby nic w życiu nie starło z Pana tego szczerego, dobrego uśmiechu.

Oczekiwać będę nowych wiadomości, wszak zima w pełni — sezon wycieczek narciarskich, zabaw na łodzie, które Pan przecież tak bardzo lubi.

A teraz „Uśmiech" uśmiecha się — tak szczególnie — do „Dzielnej Cyganki", — „Augustowianki" — „Romantyka" — „Sonii" — „Duśki" — „Dzinki" i „Wilka Morskiego".

PROŚBA O ADRESY I LISTY

„Smutna Sztubaczka" komunikuje: „Hallo! To ja — „Smutna Sztubaczka"! „Sztubaku z pod lasu", dziękuję Ci za liścik i proszę o adres. O to samo proszę i „Smutnego Sztubaka". „Mary" — „Ryśkę D." — „Smutnego Stefa" — „Jura" i „Medyka ze Lwowa" — proszę o liściki.

PISZCIE DO MNIE..."

„Dziewczynka z Rogoźna" pragnie również nawiązać skimś korespondencję i w tym celu pisze:

„Jestem młodą szatynką o niebieskich oczach. Lubię śpiew, uśmiechnięte twarze ludzi i wolne przestrzenie. Nieraz nudzę się, odczuwam brak towarzystwa, dlatego piszę do „Krainy" z prośbą o liściki. Piszcie do mnie szybko i dużo, a odwzajemnię się w dwójnasób".

„MAŁA KONWALIJKA" JEST MI BARDZO DROGĄ...

„Mała Konwalijka". Mała Dziewczynko o złotym serduszku! Myśli Twoje zawsze dziwnie mnie wzruszają i zawsze usposabiają łagodnie do życia. Nie wiem, czy to prostota z jaką odnosisz się do mnie, czy też serce, wpływają tak na mnie, ale to wiem, że „Mała Konwalijka" jest mi bardzo drogą... Serdecznie Ją — tę moją małą Dziewczynkę — pozdrawiam.

Kilka słów z listu „Małej Konwalijki":

„Biała Uajali"! Nie masz pojęcia, jak cieszę się na ten obiecany list. Napisz, a odwdzięczę się z radością.

„Bajko"! Wytłumacz się jaśniej. Zastanawiam się nieraz nad tym, czy doprawdy mieszkamy blisko siebie. Serdecznie pozdrawiam!

„Charitasowi" dziękuję za miłe pozdrowienia.

„Czarnulę" i „Marutę" całuję mocno".

„SPOKOJNA, SZCZĘŚLIWA, RADOSNA

Jestem tak spokojna — szczęśliwa — radosna!
Uśmiechów promiennych nie szczędzę nikomu
..Czasem tylko tęsknię za swym własnym domem
I resztki swych złudzeń rozwiewam żałosne...

Jestem tak radosna — spokojna — szczęśliwa!
Głośno wyśpiewuję wciąż weselne sherza —
...Już szczęściem prawdziwym nie łudzi się serce,
Z każdy dniem zwątpienia więcej w nie napływa...

Jestem tak radosna — szczęśliwa — spokojna,
Dla wielu opoczne i pewne oparcie — —
Czyż warto z swym l s m walczyć wciąż uparcie,
Skoro wie się naprzód, że się przegra wojnę..

Danuta Wyrybkowska

PRÓŻNA TĘSKNOTA I WYCZEKIWANIE

„Radioabonentka z poste - restante" nadesłała na moje ręce kilka poniższych słów:

„Ord — Omie"! Jak mam sobie wytłumaczyć Twoje milczenie? Tęsknota i wyczekiwanie, jak dotychczas, były próżne — czy i nadal tak będzie?

„Czarny Olku"! Czy doczekam się odpowiedzi?...

„Gladiatora" i „Erosa" serdecznie pozdrawiam. Może napiszecie do mnie — i z przyjemnością odpowiem".

NAPEWNO...

„Podchorąży z Grudziądza". Z ochotą przyjmuje Pana do „Krainy". Miło mi stwierdzić, że do naszej „Rodzinki" stale przybywają nowi członkowie, ujęci jej szczerością. Pan, jako przedstawiciel polskiej armii, rekomenduje się po wojskowemu: wzrost 174 cm, oczy — błękit morza, włosy szatyn. Wielki marzyciel, miłośnik prawdy, przyrody i muzyki (to ostatnie najbardziej).

Napewno, „Podchorąży z Grudziądza", dostanie moc miłych liścików od sympatycznych Czytelniczek — mundur tak pociąga przecież i czaruje.

Bardzo serdeczne pozdrowienie dla „Smutnej Hanki" i „Charitas".

Teczka Wujka Janusza

PROSZĘ PAMIĘTAĆ!

P. Ksawery G. Wiersze słabe. Brak w nich nietylko płynnego rytmu, ale miejscami nawet logiki. Widzimy to np. w wierszu „Wizje":

Śniegiem okryta, cicha, spokojna
Do ziemi przytulona chatka,
Choć taka biedna, jednak taka strojna
I taka miła, kochana, jak matka.

W zwrotce tej brak sensu w trzecim wierszu, bo czyż biedna chatka może być strojna? Chyba w zieleń, winogrady lub kwiaty, ale o tym nie napisał Pan przecież w wierszu. Poza tym wiersz ma niestosowny tytuł, bo myśli Pana nie składają się na wizje, a raczej na refleksje.

Powyżej wykazane błędy są napozór drobnymi szczegółami, ale te drobne szczegóły mogą zdeformować najpiękniej i najoryginalniej przemyślaną całość. O tym musi Pan pamiętać przy tworzeniu następnych wierszy.

Dalsza korespondencja ucieszy mnie bardzo!

NIE ROKUJĘ ŻADNYCH NADZIEI

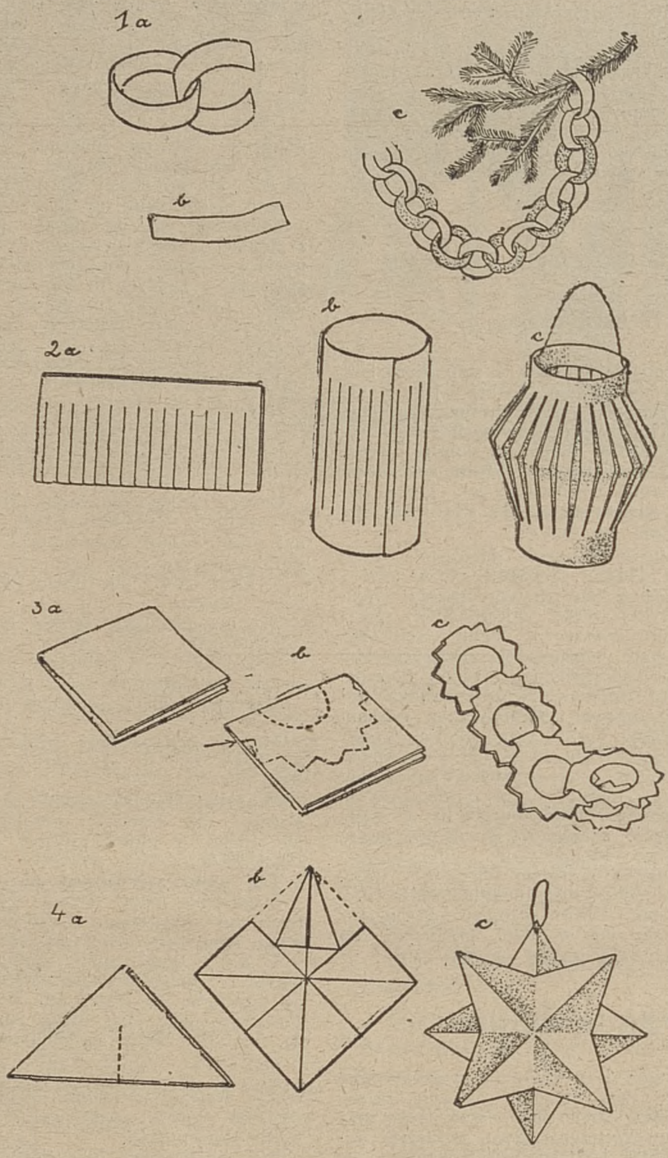
P. W. W. L. Blade i bez treści. Nie rokuję Panu żadnych nadziei na przyszłość. Najaktualniejszą będzie pisownia. Serdecznie pozdrawiam!

DZIĘKUJĘ!

„Madzia". Wiersze słabiutkie. Za miłe życzenia bardzo, bardzo dziękuję!

Raj kobiet

Śliczne ozdoby choinkowe



Z 8 — 10 cm. długich, wąskich paseczków kolorowego papieru robimy łańcuszek na choinkę. (Rys. 1a, b, c) Praca to łatwa i prosta. Pierwszy paseczek papieru sklejamy — tworząc kółko. Następny przetykamy przez pierwszy i znów sklejamy. W ten sposób stale czynność tą powtarzamy, aż utworzy się łańcuch dowolnej długości.

Rysunek 2a, b i c ukazuje schemat pracy przy wykonywaniu maleńkiej latarni na drzewko. Kawałek silnego papieru, o rozmiarze 10/20 cm. składamy na pół, uważając, aby brzegi równo do siebie przylegały i przecinamy w równych odstępach, pozostawiając równy brzeg, przy zakończeniu. W dalszym ciągu pracy papier pocięty wyprostowujemy i zlepiamy dwa jego brzegi, tworząc rodzaj rurki. Kształt latarni otrzymujemy, zgniatając silnie palcem zgięte miejsca. Dodamy teraz sznureczek — i całość winna wyglądać tak, jak na rysunku. Ślicznie wygląda taka latarenka wykonana z srebrnego lub złotego papieru.

Przemiły łańcuszek z powiązanych z sobą gwiazdek (rys. 3a, b. c) robimy z podwójnie złożonego kolorowego papieru, wielkości 4/8 cm. Forma zależna jest od nas samych: można wykroić gwiazdki ośmio zębne, krzyżyki czy czworokąty. W tym celu składamy papier w czworo, rysujemy dowolny wzór i wycinamy. Uzyskamy w ten sposób 2 gwiazdki (lub inne figury). Gwiazdkę pierwszą sklejamy z jednej strony, przez tę przekładamy drugą, już bez sklejania i tak dalej powtarzamy tę czynność. Długość łańcucha — jak przy pierwszym zwykłym łańcuszku — jest dowolna. Gwiazdki mogą być jednokolorowe, lub zamieniać można kolejno barwę papieru. Jest to miła ozdoba choinkowa.

Ślicznie też wyglądają na drzewku gwiazdki przedstawione na rys. 4 c. Kwadratowy kawałek srebrego lub złotego papieru zginamy w przekątnej, tworząc trójkąt, który następnie przecinamy do połowy od strony otwartej (rys. 4a) i z powrotem wyprostowujemy. Dalej zgniatamy poszczególne trójkąty gwiazdy, sklejając je silnie (rysunek 4b). Dwa w ten sposób przygotowane kwadraty papieru utworzą gwiazdę ośmiokątną. Wieszamy ją na kolorowej nitce na drzewku świątecznym.

D.

Dobra gospodyni

Pierniczki łuckie. Do 1 litra miodu wlać kieliszek czystego spirytusu, wymieszać i smażyć wolno szumując. Dodać po wyszumowaniu trochę pomarańczowej skórki smażonej, drobno usiekanej, trochę przesianego cynamonu anyżu, parę goździków, oraz pieprzu białego 5 ziarnek. Półtora litra mąki żytniej sprażonej wprzód w rondlu na ogniu, rozrabiać gorącym miodem, dodawszy małą łyżkę potażu w proszku. Po pół do 1 godzinie wybijania ciasta łyżką, wyrabiać na opłatkach okrągłe lub podłużne pierniczki, układać na blasze wysmarowanej woskiem, i piec w dość gorącym piecu.

Łatwy i tani piernik. 12 dkg cukru utrzeć do białości z 3 żółtkami, dodać 12 dkg zmielonych orzechów włoskich, pół litra mąki, pianę z 4—5 białek, wlać pół litra zagotowanego wystudzonego miodu, 2 dkg potażu rozpuszczonego w kilku łyżkach piwa, wsypać trochę przesianego cynamonu, goździków i gałki muszkatułowej i upiec w formie wysmarowanej masłem i wysypanej bułką.

Placek z serem. Przyrządzić ser jak na placek serny, rozsmarować go na drożdżowym spodzie jak poprzedni, wygładzić z wierzchu łyżką lub nożem maczanym w białku, posmarować rozbitym jajem i upiec w gorącym piecu.

Strucle nadziewane świąteczne. Robi się je z tego samego ciasta co przekładaniec. Nadziewać je można masą migdałową lub orzechową, makiem, konfiturami róży, powidełkiem etc. Wszystkie te dodatki należy przygotować w wilię dnia. Mak utrzeć dobrze w donicy, po tym zasmażyć z niesłonym świeżym masłem, i kilku łyżkami słodkiej śmietanki, wymieszać z cukrem i zarobić białkami. Masę migdałową lub orzechową należy tak samo zarobić białkami, a konfitury osączyć na sicie z syropu. Po tym gotowe ciasto wyrzucić na stolnicę, podzielić na dwie części, z których jedna ma być troche większa. Tę znów przekroić na 4 równe części, z każdej utarzać wałek, w środku cokolwiek grubszy, rozpłaszczyć je, nakładać w nie naprzemian przygotowane dodatki, utarzane również w okrągłe wałeczki zawinąć ciasto napowrót, utarzać i obrównać, a położywszy je obok siebie, upleść we czworo na warkocz i przenieść ostrożnie na blachę wysmarowaną masłem i wysypaną mąką. Po tym postąpić tak samo z drugą mniejszą połową ciasta i położyć ten większy strucel na wierzchu większego, uważając, aby się nie skrzywił. Gdy strucel już gotowy przykryć go czystą ściereczką, postawić w cieple jeszcze na jakiś czas, a gdy podrośnie posmarować rozbitym jajkiem i wstawić do gorącego pieca na dobrą godzinę. Takie strucle dobrze jest wyrabiać w dwie osoby, aby ciasto zbyt długim przygotowaniem nie ziębło.

Świat i życie

Potęga amerykańskiej reklamy

(Korespondencja własna)

New Jork, w grudniu 1936.

Ameryka jest kolebką reklamy, którą doprowadziła do wirtuozostwa, dotąd nieprześcigniętego przez żaden inny kraj. Ameryka wierzy, w skutek reklamy, wierzy, że jak zacznie „bębnić" o jakimś przedmiocie, to konsumentom nie tylko „ucho zwiędnie", ale też „zwiędnie mu nieco kieszeń".

Reklamy w Ameryce sięgają dosłownie od ziemi aż do nieba, od wypuszczonych przez aeroplany świetlnych liter wyrytych na trotuarze aż do dymnych liter, na niebie. Najbardziej rozrzutna jest reklama gumy do żucia: Wrigley's Speamint.

Jeśli zważymy, że ten „szlachetny" obiekt kosztuje raptem 1 peny (5 groszy) i, że amerykański gentleman, najgorliwszy nawet „gumożujca" nie zużywa dziennie więcej, jak jedną sztukę, musimy przyznać, że budżet reklamowy tej firmy wynoszący 6 mil. dol. rocznie jest sumką, godną podkreślenia.

Reklamy Wrigley's Spearmint widzi się wszędzie, na murach, na dachach, w kolei podziemnej, na autobusach. Przeważnie jest to plakat wyobrażający młodą kobietę w welonie na ślubnym kobiercu z kwiatami w ręku. Dwaj paziowie niosą tren jej welonu. Na plakacie nie ma żadnego napisu, tylko gdzieś tam, z boku małymi literami: „I całe życie używać będziesz gumy do żucia Wrigle'a. Clou reklamy gumy Wrigley'a to elektryczna witryna tej firmy na Brodwayu, na skwerze Timesa. Na jednym z dachów niewysokiego domu co noc ożywia podwodne królestwo ryb naświetlone 30.000 różnobarwnymi lampami. Koszty zużytej elektryczności wynoszą około 3.000 dolarów tygodniowo. Światło jest tak potężne, że w hotelu Astor, znajdującym się na przeciwnym końcu skweru musiano w niektórych oknach zasuwać rolety. Zarząd hotelu wytoczył firmie proces, gdyż goście z tych pokojów opuścili hotel. Niektóre reklamy odznaczają się pomysłowością i humorem. Jakiś krem do golenia wyzyskuje zwrotki popularnej piosenki amerykańskiej: „Jeśli brody swej nie zdejmiesz, marynarz narzeczoną ci skradnie". Rysunek oczywiście, wyobraża majtka pod rękę z niewiastą, z daleka płacze mężczyzna z brodą.

Inny plakat krzyczy: „I znowu się spotkali dwaj starzy przyjaciele". To kiełbasa z... piwem, które „odbiera sobie teraz zmarnowane czasy prohibicji.

Plakat z mocno roznegliżowaną nagą kobietą A chodzi o środek przeciw odciskom.

Całująca się para zaświadcza, że pomadka do ust „Kissproof" nie ściera się przy pocałunku.

Cóż czyni portret króla Edwarda VIII w oknie konfekcji męskiej? Wisi obok ubrania,

przy którym widnieje kartka, że z tego materiału i tego kroju ubranie nosi obecnie król Anglii. W innej witrynie tego magazynu elektryczne lampki prześwietlają ubranie, aby każdy mógł dojrzeć jego cienkość. Kartka głosi: całe ubranie waży 43 uncje.

Bogaty rozdział w dziedzinie reklamy zajmują pięcioraczki Dionne. Te pięcioraczki (pięć dziewczynek) urodziły się właściwie w Kanadzie, ale Ameryka się niemi „zaopiekowała". Rodzice otrzymali 75 tysięcy dolarów za „występ pięcioraczków w filmie p. t. „Wiejski lekarz", producenci tego filmu zarobili oczywiście setki tysięcy dolarów, towarzystwa asekuracyjne zarobiły też krocie na „premiach" dla dziewczynek, fabryki zabawek wypuściły lalki, naśladujące „pięcioraczki", fabryki mączki dla dzieci zaczęły dodawać fotografię pięcioraczków itp. Plakaty i ogłoszenia w gazetach codziennie obwieszczają: Pięcioraczki Dionne dziś po filiżance Qwaker Oats zawierającego witaminy. B. Pięcioraczki spożyły czekoladki X, cukierki Z itd.

Gdyby pięcioraczki spożywały to wszystko, co wymieniają reklamy, dawnoby już im brzuszki pękły.
C. P. C.

Ze świata

Pierwszy prawdziwy latający rower

O rowerach rzekomo latających, prasa światowa donosiła już wielokrotnie. Wielu wynalazców usiłowało skonstruować mały samolot, w którym rolę motoru wprawiającego w ruch śmigło, spełniałyby nogi lotnika. Wszystkie jednak dotychczasowe próby, w tej dziedzinie spełzły na niczem. Okazywało się bowiem przy każdym eksperymencie, że ruch wirowy śmigi, poruszanej siłą mięśni jest wprawdzie wystarczający, aby rower poruszał się po ziemi, lecz jest niedostateczny, aby aparat dźwignąć ku górze.

Tem większe zdumienie specjalistów budzi wynalazek świeżo opatentowany przez młodego czeladnika ślusarskiego z Budapesztu nazwiskiem Jerzy Lakatos. Aparat jego, nazwany „Oriotoplan" zdał przed komisją rzeczoznawców egzamin ze swej sprawności. Młody wynalazca przeleciał bowiem na nim 1.300 metrów, poczem spokojnie wylądował na lotnisku.

Latający rower Lakatosa oparty jest na odmiennych zasadach niż dotychczas konstruowane analogiczne aparaty. Nie posiada on bowiem śmigi, lecz dwa ruchome skrzydła, umieszczone u dołu aparatu. Skrzydła te, nazwane przez wynalazcę powierzchniami kompresyjnymi, poruszane są pedałami. Drogą kompresji powietrza pod aparatem zostaje spowodowany wzlot. Kierowanie „Oriotoplanem" dokonywa się przy pomocy sterów.

Jak w bajce o królewiczu i zapłakanej królewnie

Na południu Indyj, w pobliżu Kalkuty wydarzył się charakterystyczny dla tego kraju wypadek. Ojciec czternastoletniej jedynaczki, zaręczył ją bez jej wiedzy i woli z pewnym handlarzem trzody — który według relacji jego krewnych był zamożnym człowiekiem, i miał posiadać conajwyżej lat 50.

Przez tydzień trwały przygotowania do uroczystości weselnej, panna była bowiem urodziwa i robiła karierę. Tymczasem w dniu zaślubin, gdy do skromnej wioski panny młodej przybył orszak ślubny narzeczonego, okazało się, że pan młody jest już sędziwym bezzębnym starcem, lat około 70-ciu, ubrany w dodatku bardzo nędznie, i obarczony liczną rodziną.

Panna młoda z rzadka jak na zahukaną hinduskę stanowczością, oznajmiła zrozpaczonemu ojcu, że prędzej rzuci się do rzeki, lub ucieknie do dżungli i da się pożreć dzikim zwierzętom, niż wyjdzie za tego pokrakę. Ojciec, kochając jedyne swe dziecko — musiał ustąpić, aczkolwiek „barisz" — czyli suty zadatek przyszłego wiana panny młodej — był już wręczony narzeczonemu. Został on jednak sromotnie przeprany z wioski, wraz ze swym swatem i drużbą.

Obyczaj jednak hinduski wymaga, aby dziewczyna raz zaręczona wyszła stanowczo za mąż w dniu oznaczonym przed zajściem słońca, skoro kapłan i goście weselni są już zgromadzeni, barana zakłuto, placki kukurydzowe popieczono itd.

Rozpoczęto więc poszukiwanie na gwałt nowego pana młodego. Wioska była mała, dokoła pustkowia, w najbliższych okolicach nie było ani jednego „kawalera", nawet wśród najmłodszych chłopców, zaręczonych już w niemowlęctwie. Kilku krewniaków panny młodej, chcąc jej dopomóc, dosiadło paru osiodłanych osiołków i puściło się w cwał po drogach i traktach najbliższych. Ale w tym dniu upalnym i pełnym kurzu — nikt jakoś nie dążył w te odludne okolice, za wyjątkiem kilku Sadu — czyli pustelników i jałmużników. Dopiero przed samym wieczorem, na jednej z drożyn prowadzącej do lasu spotkano młodego uśpionego chłopca, wiekiem zbliżonego do niefortunnej panny młodej.

Chłopca obudzono: był to uczeń jednej ze szkół rzemieślniczych, sierota, który uciekł na wagary. Zaproponowano mu dostatni ożenek z młodą i ładną dziewczyną. Widząc jednak, że chłopak na wpół obudzony z mocnego snu — waha się — skrępowano mu ręce, wsadzono na osła i pognano z nim do wioski, gdzie w stanie największego zdenerwowania — zgromadzona rodzina i oblubienica oczekiwali finału tego tragicznego dnia.

Chłopak na razie trochę się buntował, ale gdy ujrzał sutą biesiadę, ustrojonych gości, oraz zapłakaną i ładną pannę młodą — zgodził się pozostać jej mężem. Był samotny, na łasce krewnych, miał lat czternaście. Obrzęd zaślubin rozpoczął się wnet, młodzi przypadli sobie do gustu, uroczystość weselna zakończyła się w atmosferze powszechnego zadowolenia.

Przeprowadzka całego miasta

W południowo-zachodniej Francji, u stóp Pirenejów znajduje się niewielkie miasto Tarbes, jak i inne miasta w tych stronach, żyje głównie z winnic, które szerokim pasmem ciągną się w tych ozłoconych słońcem okolicach. Tarbes słynie z dobrego wina, lecz także i z trąb powietrznych, które nawiedzają miasto prawie regularnie co dziesięć lat. Trąby powietrzne odznaczają się tu niezwykłą siłą i zmiatają wszystko, co im staje na drodze.

Tarbes było spustoszone prawie doszczętnie przez trąby powietrzne w 1903 r., w 1913 r., w 1927 i 1936 roku. Co dziesięć lat za tym niszczy orkan miasto, niwecząc wysiłki władz i mieszkańców. Orkany te zjawiają się zawsze w pełni lata, nie ustępując w natężeniu i rozmiarach niszczycielskim tajfunom chińskim lub huraganom u brzegów Florydy.

Regularne nawroty orkanów zwróciły uwagę kół naukowych. Zaczęto badać systematycznie warunki klimatyczne i geologiczne Tarbes i jego okolic. Wreszcie fizycy i meteorologowie francuscy doszli do wniosku, że źródłem katastrof perjodycznych jest gleba, na której znajduje się miasto. Grunt bowiem składa się z piasku kwarcowego, naniesionego tu w ciągu setek lat przez deszcze ze stoków Pirenejów, kwarc ten zaś jest wysoce radioaktywny. Zdecydowano za tym przenieść miasto o siedem kilometrów dalej, na miejsce, gdzie grunt nie posiada właściwości radioaktywnych w tak wielkim stopniu. Przenosiny Tarbes rozpoczną się już w roku przyszłym, na wiosnę.

Żebrzące konie

Od kilku dni Anglia jest widownią wyprawy koni po datki. Wyprawę taką urządza corocznie zarząd szpitala i przytułku dla starych koni, istniejącego przy Królewskim Kolegium Weterynaryjnym, w którym wysłużone konie znajdują jak najczulszą opiekę.

Podczas wypraw takich można widzieć we wszystkich miastach angielskich konie, przybrane odpowiednio i zaopatrzone w skarbonki, do których publiczność wrzuca swe datki.

A datki te — wobec znanego współczucia Anglików dla „niemych przyjaciół człowieka" — przynoszą corocznie tak znaczny dochód, że dzięki im powstał i utrzymywany jest z całą pieczołowitością wzrowy szpital oraz przytułek, gdzie stare, wysłużone konie spędzają spokojnie resztę swego życia.

Ptaki

(NOWELKA)

Dwa miesiące upłynęło od ich ślubu.

Zdawało mu się, że szczęście trwać będzie wiecznie. Gdy właśnie myślał o swej pięknej żonce, służąca weszła, by sprzątnąć ze stołu.

— Pani idzie na rynek. Znów zapomni kupić wielu rzeczy. Jestem pewna że kupi rzeczy niepotrzebne, a co trzeba zapomni. Tak jest zawsze — powiedziała.

Obowiązkiem męża było w tej chwili stanąć w obronie żony.

— Pani umie kupować! Pani zna się na gospodarstwie! Pani ukończyła gimnazjum i była na uniwersytecie — tłumaczył służącej, która znała go od maleństwa, gdyż poprzednio pracowała u jego rodziców.

— Tak, ale z uniwersyteckiem wykształceniem źle się kupuje jajka — odparła Marta.

— Wiem co mówię, proszę mi nie przeszkadzać!

Marta wyszła. Wyciągnął się w fotelu, zamknął oczy i był ogromnie szczęśliwy.

— — — — — —

— Pani pana prosi — rzekła Marta po godzinie.

Głos jej brzmiał trochę ironicznie i Gaston zwrócił uwagę, że jej twarz promieniała radością.

Poszedł za nią do kuchni.

Magdalena wyszła mu naprzeciw.

— Ach Gastonie! Kupiłam parę cudnych ptaków. To są ptaki miłości. Mogą żyć tylko parami.

Były doprawdy ładne. Siedziały razem na drążku w klatce.

Magdalena wesoło klaskała w dłonie.

— Ten grubszy, różowy to ty, Gastonie, a ta mała ptaszyna to ja... Rozumiesz, gdybyś umarł wskutek nieszczęśliwego wypadku nie przeżyłabym tego. Umarłabym razem z tobą. A ty? Co ty zrobisz, gdy ja umrę?

Ukrył głowę w złocistych włosach żony, by powstrzymać się od śmiechu.

— Wiesz przecie, że nie mogę bez ciebie żyć — odrzekł już po chwili poważnie.

— A jajek pani nie kupiła — zauważyła Marta.

Codziennie Gaston musiał przyglądać się klatce z ptakami. Magdalena wymyśliła jakiś język, za pomocą którego porozumiewała się z ptakami. A ptaszyny z każdym dniem stawały się coraz rozumniejsze i przybierały na wadze.

Pewnego dnia Gaston na podwórzu usłyszał rozpaczliwe wołanie żony.

Szybko wbiegł do mieszkania, sądził bowiem, że stało się coś poważnego.

— Patrz — rzekła płaczącym głosem. — Zdaje się, że żona zachorowała...

Zbliżył się do klatki. Żona doprawdy wyglądała na bardzo chorą. Siedziała skurczona na drążku, oczy miała przymknięte.

Gaston spojrzał na męża. Mąż widać nie martwił się wcale z powodu ciężkiej choroby żony, gdyż był wesół, fruwał sobie po klatce i dziobkiem chwytał ziarnka pszenicy.

— Może dać jej trochę ocukrzonego wina — rzekł Gaston.

Nic nie pomogło. Biedna ptaszyna zdechła.

Tymczasem nastał wieczór i jej mąż usnął.

— Biedny — westchnęła Magdalena. Jak on cierpi. Jest przecież skazany na śmierć.

Magdalena miała wilgotne oczy.

— — — — — —

Ale, o zgrozo. Mąż wcale nie myślał umierać. Nazajutrz obudził się zdrów, jakgdyby się nic nie stało.

Napróżno Magdalena stała cały dzień przed klatką, starając się zasmucić wesołego wdowca. Ale on nie chciał o niczem słyszeć. Skakał wesoło i połykał ziarna.

Tak samo zachowywał się w dniach następnych. Magdalena była niemile zdziwiona. Czyżby ten mąż był wyjątkiem? Czyżby to była istota bez serca, ignorująca stare tradycje?

— Niech pani sobie wybije z głowy, że on umrze — rzekła perfidnie Marta. Widzi pani, wszyscy mężczyźni są jednakowi. Myślą tylko o własnych przyjemnościach. Jak długo żyję, nie widziałam męża, któryby umarł ze zmartwienia po stracie żony.

Magdalena zaczęła wątpić. Może Gaston też!

Kolacja przeszła w milczeniu. A gdy wstali od stołu, Magdalena rzekła mimochodem:

— Nie macie wcale serca. Szukacie tylko własnych przyjemności.

Westchnęła przy tym ciężko.

Gaston nie oderwał się nawet od gazety.

— — — — — —

Wieczór był ciepły i ładny. Księżyc przeświecał poprzez drzewa ogrodowe. Gdzieś w sąsiedztwie ktoś grał na flecie.

Gaston podszedł do Magdaleny. Objął ją lekko wpół, ale ona odepchnęła go.

— Odejdź! — rzekła. — Nie wierzę już, że mnie kochasz! Byłam niewinna i głupia! Gdy umrę, postąpisz tak samo, jak ten wstrętny ptak. Nie kochasz mnie wcale! Zostaw mnie! Proszę cię, zostaw mnie w spokoju!

— — — — — —

Po godzinie, gdy Magdalena leżała smutna w swym buduarze, Gaston zakradł się do kuchni.

Otworzył cichutko drzwiczki klatki, wsunął ostrożnie rękę i chwycił za gardło śpiącego ptaka. Mocno ścisnął rękę. Czuł, jak ptak drga...

Potem wypuścił go z ręki. Ptak leżał bezwładny i nieruchomy.

Gaston wrócił do sypialni. Nikt niczego nie zauważył.

Długo jednak nie mógł zasnąć.

Zdawało mu się, że popełnił straszną zbrodnię.

— — — — — —

Rankiem obudziło go szczekanie psa w ogrodzie.

Usłyszał wołanie żony. Otworzył okno.

— Gaston! Kochany mój — krzyknęła radośnie. — Biedny ptak umarł ze zmartwienia po stracie żony!

Trzymała martwego ptaka w ręku. Był siny i miał zamknięte oczy.

Gaston ubrał się i wyszedł do ogrodu.

Magdalena objęła go czule.

— Jakie to piękne! Miłość jest silniejsza od śmierci!

— Tak, tak — rzekł, ukrywając ironiczny uśmiech. Przyroda daje nam niezrównane przykłady.

Nie skończył zdania. Różowe wargi Magdaleny przylgnęły do jego ust.

Gaston znów był szczęśliwy.



W górach spadły olbrzymie śniegi i stworzyły prawdziwy raj dla zapalonych narciarzy...

koi jego sumienie, ale starania jej były nadaremne.

Marcin wprawdzie nie odpowiadał, ale potrząsał od czasu do czasu głową. Adelajda umilkła, ale z ciągłym niepokojem nadsłuchiwała czy mąż nie uśnie.

Po jakimś czasie usłyszała miarowy jego oddech i to pocieszyło ją, że znalazł pocieszenie i uspokojenie w słodkim śnie.

Wtedy i ona usnęła snem twardym, który ją miał pokrzepić i dodać jej sił do nowej pracy.

ROZDZIAŁ XXXVI.

Powódź, albo: „Zgubieni".

Hortensja tego dnia również późno usnęła. Myślała o Leonie, który wszystkie jej myśli zajął.

Wyobrażała sobie, że gdyby się musiała z nim rozłączyć, serce jej pękłoby z bólu. Monotonny szmer nieustannie padającego deszczu, stanowił przygnębiający akompaniament jej smutnym myślom. Wkońcu zwyciężyła potrzeba snu i Hortensja usnęła a na różanej jej twarzy były jeszcze we śnie ślady łez.

Nareszcie zbudził ją okrzyk trwogi a do komnaty jej dochodziło słabe światło. Gdy się podniosła z łóżka, zobaczyła przed sobą Adelajdę w prowizorycznym ubraniu, z wyrazem śmiertelnej trwogi na twarzy.

— Wstawaj moje dziecko — zawołała przestraszona Adelajda — ubierz się jak najspieszniej, bo musimy uciekać, gdyż woda zagraża nam. Spieszę, aby bydło ratować.

Powiedziawszy te słowa zniknęła, aby wykonać co zamierzała.

Przestraszona Hortensja ubrała się natychmiast, a otworzywszy drzwi do następnej izby, ujrzała w niej żółto-brudną wodę już na stopę wysoko.

Młoda dziewczyna przebrnęła przez wodę, aby się dostać na podwórze i tu poznała dopiero całą grozę niebezpieczeństwa.

Przez otwarte drzwi wpadała woda do wnętrza domu z niepowstrzymaną siłą.

Młoda dziewczyna już sobie radzić nie mogła i stanęła przy oknie, załamując ręce w nadziei, że może tu łatwiej jej będzie znaleźć ratunek. Ale nadzieja ją zawiodła.

W nurtach wzbierającej wody zginął zupełnie ślad drogi, znajdującej się przed domem, drewniana altanka i ławki rozmieszczone tu i ówdzie po gorach również znikły.

Jak długo mógł się domek jeszcze utrzymać?

Hortensja drżała, ale nie z obawy o własne życie, lecz o życie swoich opiekunów.

Gdzie też oni mogli być?

Czy może ratując własne życie zapomnieli o niej? Albo może ich woda już porwała?

— Adelajdo, Marcinie — wołała trwożnie po kilka razy, ale tylko szum wezbranej wody, huk burzy i deszcz spadający z przerwanej chmury, dawały jej odpowiedź.

Hortensja wróciła do swego pokoju, ale i tu rozpoczęła już woda dzieło zniszczenia.

Zdaje się, że ona sama otworzyła w przestrachu okiennicę, a szerokie strumienie gliną nasyconej wody wpadały przez okno do pokoju i niszczyły ten pamiętki przybytek.

Hortensja wydała okrzyk przerażenia, gdy spojrzała na swój ogródek.

Cóż stało się z tym małym kawałkiem raju?

Tam, gdzie przed tym róże kwitły, a motyle na nich się kołysały, gdzie po gałęziach drzew gnieździły się ptaki i miłe świergotały, płynęła teraz brudna woda, porywająca z sobą pnie drzew.

Mur ozdobiony przed tym powojem, pokryty był obrzydliwym namułem.

Po brudnej wodzie płynęło kilka oderwanych róż; wczoraj kwitły w całej pełni, dziś były całkiem zniszczone. Dawały one smutny obraz ziemskiej znikomości.

Z załamanymi rękoma patrzyło młode dziewczę w dal. Coraz nowe strumienie wody staczały się z wierzchołków gór, podmywając samotnie stojący domek. Coraz wyżej wznosiła się woda, coraz bardziej pogłębiało się jej koryto i tem groźniejsze było położenie Hortensji.

Nareszcie załamała się z trzaskiem jedna ściana, która nie mogła się już więcej oprzeć sile rozhukanego żywiołu.

Dach w tem miejscu pochylił się. Niebezpieczeństwo zbliżało się z olbrzymią szybkością. Czyż nikt nie pamięta o samotnej dziewczynie, która została sama w zagrożonym domu i rady sobie dać nie może?

Czyż nikt ni wyciągnie rękę na ratunek biednej Hortensji? Czy ma tu bez pomocy ludzkiej zginąć?

Już woda napełniła domek do wysokości kilku stóp.

Dziewczę schroniło się na ramę okna, ale i tu woda już jej zagrażała.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

CHWILA ZASTANOWIENIA

KONIKÓWKA

ul. W. M.

bądź	le	tel	zwy	
nej	w	wiel	ży	
na	śmier	czaj	nych	ży.
chodź	o	lecz	kim	
do	gdzie	przy	dzie	

Ruchem konika szachowego odczytać treść konikówki.

DOMYŚLANKA

W . . to ch . ci . . b . . az, n .
c . . . l ę jed . ą, p . ło . . ć pa
. . e n . d . . z l . . . kich r . . je,
i w l . . sze ś . . . ty . ew . . ść
rz . . . ę b . . d . ą, pra . . y i
p . . . k . a d . ć j . . p . . ą . . nic.

Odczytać piękną myśl Adama Asnyka.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 18 grudnia, bież. roku.

Rozwiązanie zadań z nr. 48 „Moich Powieści": Logogryf: 1. Kartoteka. 2. Demokrata. 3. Katarynka. 4. Kosmetyka. 5. Krzysztof. 6 Finlandia. 7. Dziedzina. 8. Dodawanie. 9. Porcelana. 10. Komunikat. 11. Przytułek. 12. Chirurgia. Całość: Okres adwentu.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Lucyna Porochówna — Wawer, Wala Suchecka — Kalisz, Ignacy Płomiński — Wielkie Młyny, R. Walkowski — Jutrosin, Aniela Płochalanka — Wygoda, Zenon Chandke — Jarosław, Benon Kowalkowski — Poznań, Janina Chollówna — Przeworsk.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Janina Chollówna z Przeworska i Ignacy Płomiński z Wielkich Młynów.

(11)

Niebezpieczny Gość

Powieść

— A teraz?

— Teraz już znam cię dobrze.

— I ufasz mi?

— Tak, — przyznała się szczerze. — Powiedziałaś mi „kocham“ — i wierzę tobie. Nie dlatego jednak, że powiedziały to twoje usta, ale dlatego, że jestem przekonana, że mnie prawdziwie kochasz. Powiedziały mi to twoje oczy. Bo choćby usta kłamały, oczy zawsze zdradzą prawdę. A twoje oczy mówią to, co powiedziały już usta...

Zamiast odpowiedzi, w milczeniu przygarnął ją do siebie.

Stanęli przed drzwiami jej sypialni i Janka otworzyła drzwi. Z wnętrza sąsiedniego pokoju dochodziło cichutkie chrapanie Ireny.

Janka spojrzała na niego z pod zmrużonych powiek.

— Nie dasz mi ust na dobranoc? — szepnął Zdzisław, przysuwając się do dziewczyny.

Położyła mu na ustach palec.

Ucałował go najprzód, poczem bez oporu wziął ją w objęcia i przylgnął ustami do jej ust...

— Dobranoc najdroższa!

Czekał aż zamknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku. Zawrócił potem w miejscu i cicho, lecz jakoś ociężale, udał się na piętro. Gdy przechodził obok drzwi Tulczyńskiego, usłyszał głośny, miarowy oddech. Widocznie literat spał w najlepsze.

Zdzisław cicho przekręcił klucz i otworzył drzwi swego pokoju. Na progu nagle przystanął i począł nadsłuchiwać. Na parterze ktoś otwierał drzwi wchodowe i ostrożnie je potem zamykał. Zdzisław bez namysłu na palcach podbiegł do klatki schodowej i nachylił się w dół.

W bladych, przepływających przez okno, promieniach księżyca mignęła, słusznego wzrostu, męska postać, o podłużnej, starannie wygolonej twarzy. Poznał Franciszka Leśniczaka, lokaja państwa Krańskich.

Zdzisław stał jakby skamieniały. Po chwili dopiero zawrócił i odszedł do swego pokoju. Był mocno poruszony. Twarz jego, przed minutą jeszcze promieniejąca szczęściem i radością, teraz była blada, dziwnie zafrasowana i niespokojna. Zapalił lampę i opadł ciężko na krzesło. Potem podparł głowę rękoma i myślał, myślał, myślał...

O czem myślał? Dlaczego uporczywie marszczy czoło? Czy nie jest szczęśliwym?...

O, kiedy tulił w swych ramionach Jankę i całował jej oczy, usta, czuł się najszczęśliwszym z ludzi. Byłby takim i w tej chwili, gdyby nie ten szyderczy i zwierzęcy śmiech, który tak okropnie przerwał im chwilę niebiańskiej rozkoszy...

Kto to mógł być? Co robił o tak późnym czasie w ogrodzie? Czy naprawdę był to... „jeden z miejscowych parobczaków“?...

O nie, wcale nie! Zdzisław powiedział tak, aby uspokoić przestraszoną Jankę. On wiedział, kto śmiał się tak szatańsko i zrozumiał co znaczył ten śmiech. Wiedział, że był to wyczyn tego samego osobnika, który napisał oszczercze anonimy, ukrywającego się pod pseudonimem „Gościa“.

Zdzisław był naprawdę zaniepokojony. Dotąd lekceważył sobie „niepoczytalnego człowieka“, ale teraz poczynał nagle rozumieć, że to wróg jego zacięty, który systematycznie dąży do wytkniętego celu... Nawet szpieguje go na każdym kroku. A jego szyderczy śmiech miał w sobie coś piekielnie niebezpiecznego i zdawał się urągać młodej parze.

Kto jest jego wrogiem?!

Zdzisław bodaj poraz setny już zadawał sobie to pytanie. Widział go przez moment tylko, ale zdążył zauważyć, że jest to człowiek młody, wysokiego wzrostu, dobrze rozwinięty, o gładkiej wygolonej twarzy, dziwnie podobnej do... kogo?

Przez głowę przemknęła mu myśl nieprawdopodobna, niedorzeczna. Zerwał się od stołu. Na jego twarzy malował się przestrach, połączony z niedowierzaniem.

— Nie, nie! — zawołał prawie rozpaczliwie. — To niemożliwe! Znam go przecież... On nie jest tym... tym niebezpiecznym „Gościem“...

Koniec części pierwszej.

—o—

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział I.

NOCNA SCHADZKA

Noc zapadła nad wioską.

W ładnym, murowanym domu, położonym nad brzegiem jeziora, dawno już pogaszono światła. Zdawaćby się mogło, że wszyscy mieszkańcy tego schludnego domku pogrążeni są w głębokim śnie — taka cisza panowała wszędzie. Lecz myliłby się ten, ktoby tak sądził. Wnet bowiem jakieś szmery dały się słyszeć w pokoju, położonym od strony ogrodu i zaraz potem uchyliło się okno i przy nikłym blasku księżyca, ukazała się w niem głowa młodej dziewczyny. Puszyste blond włosy okalały delikatną twarzyczkę, duże, jakby trochę przestraszone oczy rozejrzały się niespokojnie na wszystkie strony.

Dziewczyna cofnęła głowę i jakby niezdecydowana stanęła na środku pokoju. Chwilę namyślała się. Zapaliła potem zapałkę i przy jej migotliwym płomyku, spojrzała na zegar.

— Zaraz jedenasta — szepnęła. — To już czas... ON napewno czeka tam na mnie...

Ciepły szalik zarzuciła na obnażone ramiona i, cicho wymknąwszy się z pokoju, zeszła do ogrodu.

Ogród zdawał się być pusty i mroczny. Wprawdzie księżyc blade swe światło lał z góry, ale pod splątanymi gałęźmi tajemniczy mrok panował. Zaś spokój, cisza cudowna, dodawały uroku nieporównanej nocy letniej.

Młoda dziewczyna pobiegła gankiem wzdłuż ogrodu, przebyła go i małą, prawie całkowicie w zieleni ukrytą, furtą wydostała się po za ogrodzenie.

Znajdowała się teraz nad brzegiem jeziora. U jej stóp srebrzyła się gładka toń, w której przeglądał się, uśmiechający się dziwnie tajemniczo i pobłażliwie, blady księżyc.

Przystanęła na moment, aby rozejrzeć się dookoła po tym skierowała swe kroki w miejsce, gdzie pod rozłożystem drzewem znajdowała się mała ławeczka.

— Nie ma go jeszcze? — szepnęła zdziwiona, zobaczywszy, że ławka jest pusta. — Przecież tu miał czekać na mnie...

Nie skończyła jeszcze, gdy dały się słyszeć szybkie kroki i z cienia wynurzyła się wysoka sylwetka mężczyzny.

— Pani dawno już czeka? — wyrzekł przybyły jakby przytłumionym głosem. — Przepraszam za spóźnienie, ale nie mogłem wcześniej przybyć.

Podał rękę dziewczynie i usiedli obok siebie na ławce.

Przez chwilę milczeli oboje. Mimo panującego w tem miejscu mroku, można było zauważyć, że dziewczyna badawczo obserwuje swego towarzysza. Uważnie śledziła wyraz jego starannie wygolonej twarzy i każdy ruch jego rąk.

— Pani otrzymała mój bilecik? — zapytał wreszcie młody człowiek, nerwowo okręcając guzik u swej marynarki.

— Otrzymałam i stawiłam się na wezwanie.

— Dobrze, panno Zofio.

Dziewczyna usiłowała zajrzeć mu w oczy.

— Dlaczego pan... a raczej dlaczego nazywasz mnie „panią“? — zapytała z dziwną intonacją w głosie. — Przecież już dawno byliśmy z sobą na „ty“... Jesteś dzisiaj jakoś innym...

— Przepraszam cię, Zofio. Rzeczywiście, jestem dzisiaj silnie zdenerwowany.

Potrząsnęła głową.

— Nie tylko to... Jest jeszcze coś innego. Ale nie o tem teraz. — Pisałeś mi, że będziesz mię w tym miejscu oczekiwał. Ja stawiłam się punktualnie, choć po otrzymaniu twego pisma postanowiłam sobie, że tej nocy nie wyjdę z domu.

— Czemu?

— Tyś powinien wiedzieć.

— Ja?...

— Tak. Rozważyłam sobie wszystko — okoliczności w jakich się poznaliśmy, nasze spotkania, rozmowy i doszłam do wniosku, że ty coś ukrywasz przede mną.

Mężczyzna poruszył się niespokojnie.

— Co ty wygadujesz, Zofio?!

— Czy mówię nieprawdę? Chyba nie. Sam przyznasz, że twoje postępowanie jest conajmniej dziwne. Zjawiasz się nagle, wyznaczasz spotkanie i znowu znikasz na czas dłuższy. Nawet nie powiedziałeś mi, gdzie zamieszkujesz... Czy ja tylko wiem, kto ty właściwie jesteś?...

— Ależ, Zofio...

— Nie przecz. Wiem co mówię. Wyznaczyłeś mi schadzkę tylko z tego powodu, że znowu masz do mnie jakiś interes. Zawsze tak bywało niestety... Teraz dopiero zrozumiałam, że kłamałeś: nie kochasz mnie wcale!

Głos dziewczyny zadrgał tajonym wzruszeniem.

Młody człowiek objął jedną ręką kibić dziewczyny, drugą zaś pieszczotliwym ruchem zwrócił jej twarz ku sobie.

— Co tobie, mała? — zapytał zdziwiony. — Co tobie, moja Zosienko?...

Tkliwy ton jego głosu uradował dziewczynę.

— Czemu zawsze nie jesteś takim, jak w tej chwili? — zapytała, wspierając główkę o jego ramię.

— Mówiłem już, Zosiu, że w swem życiu zaznałem dużo przykrości. Różne przejścia zostawiły ślad na mem charakterze i uczyniły ze mnie trochę oryginała — zakończył z gorzką ironią w głosie.

— Tak — szepnęła dziewczyna. — Jesteś rzeczywiście dziwnie inny, niż drudzy młodzi mężczyźni. Oni postępują inaczej... Ale powiedz mi, dlaczego wyznaczasz spotkanie o tak późnej godzinie, kiedy nie pragniesz miłości?

A gdy nie odpowiedział, mówiła dalej tym samem tonem:

— Znamy się już więcej niż rok i przez tak długi okres czasu pocałowałeś mię trzy, lub cztery razy i to w pierwszych miesiącach naszej znajomości. Wówczas byłeś więcej uczuciowy i, zdaje się, że byłeś nawet szczęśliwy... Pamiętasz nasze spacery o zachodzie słońca?... W czasie jednego takiego spaceru przechodziliśmy przez wieś, a ty pytałeś mię o wszystkie szczegóły dotyczące tutejszego letniska. Kiedy przechodziliśmy obok, samotnie położonej, willi „Aurory“, zapytałeś mnie wtedy: „Do kogo należy ta wspaniała willa?“ — „Pan Krański jest właścicielem tej willi“ — odpowiedziałam i przeraziłam się, spostrzegłszy, że słowa moje sprawiły na tobie dziwne wrażenie... „Ten... ten z Warszawy?“... — wyjąkałeś jeszcze. — „Tak“ — wyszeptałam, gdyż twarz twoja zbladła i skurczyła się jakoby pod wrażeniem przejmującego bólu, a oczy zabłysły dziko. O, jakże wtedy strasznie bałam się ciebie! Chwila ta na zawsze pozostanie w mej pamięci... Tego samego dnia powiedziałeś mi, że mnie kochasz — wprawdzie nie tak, jak kochają inni, bo — na swój sposób. A ja uwierzyłam...

— I przekonasz się wkrótce o prawdzie słów moich — wyrzekł jakby zdławionym głosem.......

— Czy mnie tylko nie zwodzisz? I ostatnim razem mówiłeś to samo, a jednak potem wyjechałeś nagle i przez całe dwa miesiące nie dałeś o sobie znaku życia. Teraz znowu przybyłeś, ale czy na długo?

Zawahał się, lecz wnet odparł pospiesznie:

— Wyjeżdżam już jutro południowym pociągiem, gdyż zatrzymałem się tu w przejeździe na kilkanaście godzin tylko. Mam do ciebie prośbę...

— Niestety — westchnęła zawiedziona dziewczyna. — Domyślałam się tego. Dlatego też postanowiłam sobie nie przyjść na twoje wezwanie. Ale w ostatniej chwili zmieniłam to postanowienie. Pragnęłam zobaczyć się z tobą. Już tak długo nie widziałam ciebie i tęskniłam za tobą, Fred...

Mężczyzna drgnął widocznie i błysnął gniewnemi oczyma.

— Słuchaj Zochna — rzekł z hamowaną irytacją w głosie. — Jeśli chcesz, abym cię kochał, to nigdy nie nazywaj mnie Fredem! Przecież już raz wytłumaczyłem, że Alfred jest mojem drugiem imieniem. Pierwszym i właściwym jest — Franciszek!

Spojrzała nań z pod zmrużonych powiek.

— Dlaczego? — zapytała nieco zdziwiona. — Czyż Alfred nie jest więcej poetyckiem imieniem?

— Nie! — rzucił grubijańsko. — Nie cierpię tego imienia. Przypomina mi bowiem przykrą i dla mnie bardzo bolesną sprawę. Dlatego proszę cię, abyś zawsze nazywała mnie Franciszkiem.

— Jak chcesz. Mnie to obojętne.

Spojrzał na nią przenikliwie i zrozumiał, że dotknął ją swym szorstkim głosem. Mogła obrazić się na niego, a to tymczasem nie było w jego programie. Pospieszył więc naprawić sytuację.

— Przebacz Zochna — rzekł tkliwie, przytulając do siebie dziewczynę i całując ją w rękę. — Nie chciałem cię urazić. Wiem, że zawiniłem, lecz mówiłem już, że jestem silnie zdenerwowany. Ale to się skończy wkrótce i potem — będziemy szczęśliwi

Dziewczyna nie odpowiedziała, tylko uporczywie wpatrywała się w bladą tarczę księżyca.

Młody człowiek popatrzył na nią chwilkę, potem objął ją delikatnie wpół i wykręcił twarzą do siebie.

— Gniewasz się na mnie? — zapytał miękkim głosem. — Powiedz Zochna, gniewasz się. No, co?...

— Nie... nie mogę — uśmiechnęła się nakoniec.

Raz jeszcze ucałował jej rękę.

— Więc spełnisz moją prośbę?

— Jaką?...

— Nic trudnego. Chodzi o to, abyś pojutrze postarała się być w towarzystwie pewnego młodego człowieka. Nic więcej. Możesz z nim poflirtować — nie będę gniewał się o to...

— Ależ, na co to...?

— Chodzi tu o zwykły zakład. Jeden z moich przyjaciół jest dobrym znajomym owego młodego człowieka, który podobno jest zakochany w jednej z tutejszych panienek. Właśnie na tem tle doszło między nimi do zakładu.

— Nic nie rozumiem. Co mnie może obchodzić ten zakład?

— Ciebie nie, ale mnie on obchodzi. Posłuchaj tylko uważnie. Zakład jest taki: ów kawaler zaręczył słowem honoru, że już nikt nie spotka go w towarzystwie kobiety w sytuacji choćby trochę dwuznacznej... No, rozumiesz mnie chyba? Oczywiście, nie wchodzi tu w rachubę wybranka jego serca.

Zofia uniosła się na ławce i spojrzała nań podejrzliwie.

— I ty chcesz, abym ja... ja...! I ja mam być pułapką?...

— E..., chcemy wypłatać mu figla, tembardziej, że w grę wchodzi większa kwota pieniędzy. Jest bogaty, może więc przegrać na korzyść mego przyjaciela, który znowu jest i mnie winien coś, niecoś. Jak widzisz, to i ja pośrednio jestem w tem zainteresowany.

Brwi dziewczyny zmarszczyły się, a oczy dłużej spoczęły na twarzy mówiącego.

— Jakże nazywa się ten... „młody człowiek"? — zapytała.

— Niejakiś Doniecki?!... Ten letnik, mieszkający u państwa Krańskich?

— Znasz go może?

— Nie. Widziałam go wszystkiego coś ze dwa razy i to z dalszej tylko odległości. Nawet nie wiem dobrze, jak wygląda.

— Podam jego rysopis: wysoki, a szczupły, twarz nieregularna, oczy piwne, włosy ciemne...

— Więc ty go znasz osobiście?...

Młody człowiek wydawał się być zmieszany takiem zapytaniem. Przez chwilę nie mógł znaleźć odpowiedzi.

— Znam — przyznał się wreszcie — choć nie w całym tego słowa znaczeniu. Rozmawiałem z nim raz tylko w wagonie kolejowym. Było to przed miesiącem.

A kiedy dziewczyna milczała, skubiąc frendzle jedwabnego szala, zapytał prędko:

— Uczynisz zadość mej prośbie?

Zofia zastanawiała się jeszcze. Nie wie naprawdę co ma sądzić o tym człowieku. Mimo, że już przywykła do jego dziwactw, to jednak nie uszło jej uwagi, że jest dziwnie niespokojny. Wyczuwała intuicyjnie, że ją okłamuje. — W jej głowie poczęły naraz kiełkować podejrzliwe myśli... Nie mogła zrozumieć, dlaczego każe jej zaczepiać tego eleganta z willi „Aurory". Czy tylko chodzi tu o prosty zakład i o pieniądze?...

Młody człowiek spostrzegł, że dziewczyna się waha i postanowił, przy pomocy wypróbowanego sposobu, rozwiać jej wszelkie podejrzenia. Przytulił ją do siebie i, gładząc jasne, nieco rozwichrzone włosy, szeptał:

— Ależ, ty naprawdę masz piękne włosy. Cudowne loki... Znam się trochę na tem. Takich chyba nie ma żadna kobieta...

I pochyliwszy się, zanurzył usta w puszystych lokach.

Zofia zarumieniła się mocno uradowana.

— Czy tylko nie wplątasz mnie w jaką intrygę? — zapytała już tylko z odcieniem wahania.

Zrozumiał, że zwyciężył.

— Ja?!... Dziewczynko droga, chyba żartujesz... Ja, ciebie, wplątać w intrygę?... Wiesz, że gotowym rozgniewać się za taką obelgę.

Wejrzała mu w oczy. Mówił z akcentem tak szlachetnego oburzenia, że nie mogła wątpić o prawdziwości słów jego.

— Wierzę ci, Fred — szepnęła i poprawiła się natychmiast: — Wierzę ci, ...Franciszku.

— Będę się starała. Uczynię to tylko dla ciebie.

— Dziękuję Zosiu. Zawsze jesteś czarującą, uczynną dziewczynką. Jestem ci bardzo wdzięczny... Ale to już ostatni raz, naprawdę ostatni raz. Już więcej nie będę cię trudził.

— I będziesz mnie kochał?

— Będę — wyrzekł z niezrozumiałym naciskiem.

Spojrzał na fosforujący cyferblat zegarka i zerwał się z ławki.

— Co?! Już tak późno!... Muszę już wracać. Wkrótce jednak powrócę tu na czas dłuższy... Zatym zrozumiałaś mnie, kochanie?

Zofia nie odpowiedziała. Wpatrywała się w niego uporczywie. Po chwili dopiero zerwała się z ławki i zawołała zdziwiona:

— O, jakiś ty podobny...!

— Do kogo?

— Do pewnego letnika. Masz ten sam wzrost i taką samą podstawę. Tamten tylko jest starszy od ciebie...

(Młody człowiek zesztywniał.)

— ...Nawet macie te same ruchy, choć zdaje mi się, że tamten jest jakby powolniejszy, bardzo poważny i nosi za...

— Ech, tobie napewno zdaje się tylko — mruknął mężczyzna. — A zresztą nie wiem, gdyż nie znam takiego letnika... No, ale minuty uciekają bezpowrotnie...

Stanęli przy sobie. Mieli się rozejść, gdy dziewczyna niespodzianym, szybkim ruchem objęła jego szyję kuszącym uchwytem swych rąk.

— Fred! — szepnęła Zofia, kładąc mu głowę na ramieniu. — Czyż za tyle dowodów stałości i poświęcenia nie otrzymam od ciebie żadnej nagrody... jednego nawet pocałunku?

W milczeniu nachylił się i dotknął zimnemi ustami jej ust.

Delikatnym ruchem zdjął z ramion jej dłonie i szepnął do ucha jakieś słowo.

Dziewczyna zmarszczyła brewki i zajrzała mu w twarz. Potem bez słowa odsunęła się od niego i zawróciła do ogrodu.

Młody człowiek odczekał aż zniknęła za furtą, poczem puścił się aleją nadbrzeżną, pogwizdując cicho jakąś wesołą arię. Uszedł już kawał drogi, gdy naraz drgnął niespokojnie. Dojrzał bowiem, że w pewnym oddaleniu z cienia wynurzyła się jakaś postać, zdążając naprzeciw. Księżyc schował się właśnie poza małą chmurkę, a choć zciemniło się natychmiast, to jednak mógł odróżnić, że nadchodzący człowiek jest mężczyzną, a z odgłosu lekkich, sprężystych kroków mógł domyślić się łatwo, że to musi być młody mężczyzna.

Kiedy się zrównali, młodzieniec, który kazał siebie nazywać Franciszkiem, obrzucił przechodzącego bacznym wejrzeniem i, prawie w tej samej chwili, błyskawicznym ruchem nasunął sobie kapelusz na oczy.

Nieznajomy przechodzień zauważył ten ruch i zdziwił się. Przystanął i długo spoglądał za oddalającym się młodzieńcem. Zdziwienie jego spotęgowało się jeszcze, gdy zauważył, że młody człowiek podąża w stronę willi „Aurory".

Po długiej chwili spóźniony przechodzień skierował swe kroki w stronę pobliskiej szkoły.

— To on! — mruczał do siebie. — Jestem pewny, że to był on... Ale co znaczy ta zmiana?...

Rozdział II.

„PRZYPADKOWE" SPOTKANIE

Była godzina szósta przed wieczorem, gdy Zdzisław Doniecki wychodził z większego, czerwonego budynku, w którym mieściła się agencja pocztowa. Przed chwilą podjął był większą sumę pieniędzy, nadesłanych mu z Poznania i w wesołym humorze powracał do willi.

Zdzisław nigdy jeszcze nie czuł się tak szczęśliwy, jak teraz, kiedy pewny był miłości słodkiej, kochanej dziewczyny. W otoczeniu mieszkańców willi nie mógł jednak okazywać jawnie swej radości, gdyż zaraz na drugi dzień po jego oświadczynach w ogrodzie, Janka prosiła go, aby przez parę dni jeszcze utrzymać w tajemnicy fakt ich wzajemnego porozumienia się, a to z pewnych względów. Jakie względy zachodziły — Janka nie powiedziała, ale młodzieniec domyślił się łatwo.

Zresztą poniekąd było mu to na rękę. Bo najprzód musi wytropić swego nieznanego wroga. A obawiał się, że gdyby ten jego niebezpieczny wróg dowiedział się, że jest już z Janką po słowie, niechybnie przystąpiłby natychmiast do bezwzględnej ofensywy, a tego właśnie Zdzisław się obawiał. Jednakże nie ze względu na siebie, ale na dziewczynę. Lepiej więc, że nikt nie będzie wiedział, że są już narzeczonymi.

Czyż naprawdę nikt o tem nie wiedział? Zdzisław odpowiedziałby z całą pewnością: — nikt! A jednak był ktoś, co wiedział o wszystkiem. Jak i skąd się dowiedział? Niewiadomo. — Może domyślił się wszystkiego będąc świadkiem tego, jak oczy panny Krańskiej spotykały się zbyt często z wejrzeniami Zdzisława z rozkosznym wyrazem porozumienia wzajemnego...

Ale Zdzisław o tem nie wiedział.

Agencja pocztowa znajdowała się w samym końcu wioski, to też, chcąc dotrzeć do willi „Aurory“, musiał przechodzić przez wieś całą. Z zainteresowaniem więc przyglądał się zagrodom gospodarskim, to znowu schludnym domkom, rozsianym gęsto nad drogą, otoczonym sadami i ogródkami. Wszystko tu było tak prozaiczne, miłe, a nadewszystko nowe dla niego, jako dla zasiedziałego mieszczucha...

Wreszcie zboczył na polną drożynkę, mającą zaprowadzić go nad jezioro. Uszedł nią kilka metrów, gdy tuż za sobą posłyszał szybkie, lekkie kroki. Nie mógł jednak zaraz się obejrzeć, gdyż całą swą uwagę musiał skupić na dróżce, która w tym miejscu była stroma, a po rannym deszczu — śliska i poprzecinana bróżdami.

W pewnej chwili Zdzisław zapragnął zapalić papierosa. Kiedy, sięgnąwszy po etui, przystanął, rozległ się mały okrzyk i jakaś ręka desperacko chwyciła go za ramię. Odzyskawszy cudem równowagę, obejrzał się poza siebie.

Zobaczył młodą dziewczynę w jasnych, puszystych włosach i dość pięknych rysach, w tym momencie mocno zmieszaną. W jej niebieskich oczach wyczytał przestrach i zakłopotanie.

Zdzisław poznał Zofię Niewiarowiczównę.

— O, przepraszam... bardzo przepraszam pana — zawołała dziewczyna. — Proszę mi wybaczyć, ale tą drogą jest doprawdy niemożliwa. Gdyby się pan tu nie znalazł... O, proszę spojrzeć...

Pokazała dół, na kilkanaście centymetrów głęboki, zapewne wyżłobiony przez wodę, w którym znać było ślad damskiego pantofelka.

Zdzisław uśmiechnął się z wyrozumieniem. Bawiło go zakłopotanie dziewczyny.

— Ależ, pani jest zupełnie wytłumaczona.

Skinęła mu lekko głową i chciała odejść. Postąpiła jednak zaledwie dwa kroki, gdy zaraz przystanęła, jęknąwszy cicho.

Przysunął się do niej żywo.

— Co się stało? — zapytał, widząc, że prawą nogę trzyma nieruchomo nad ziemią.

Spojrzała nań z wyrazem przestrachu i bólu na twarzy.

— O, moja noga... Nie mogę... iść.

— Zwichnęła pani nogę?...

— Nie wiem... zdaje się.

Wyciągnęła nogę przed siebie, próbując wykonać nią kilka ruchów. Nóżka była kształtna, obciągnięta cielistą pończoszką i kończyła się maleńkim pantofelkiem.

— Boli panią?...

Spojrzała na niego ciekawie. Zauważył, że z jej twarzy zniknął już wyraz bólu.

— Teraz już nie tak bardzo — odparła, opuszczając powieki, widocznie spłoszone natarczywym wzrokiem młodzieńca. — Ale nie wiem...

Znowu spojrzała na niego i przeniosła wzrok na czerwieniejący się dach niezbyt odległego domu nad jeziorem.

Zdzisław zrozumiał znaczenie tego spojrzenia. Popatrzył na dziewczynę, przysunął się do niej bliżej i przystanął. Zaraz jednak wzruszył ramionami.

— Jeśli pani pozwoli, to przeprowadzę ją do domu — zaproponował.

Zawahała się, poczem rzekła z nieznacznym uśmiechem:

— Wie pan, że jednak nie mogę odmówić...

Podał jej swoje ramię. Wsparła się na niem i, ostrożnie stawiając nogę, ruszyła wolno z początku, potem już tak równym krokiem, że zastanowiło to Zdzisława.

W zachowaniu się dziewczyny spostrzegł coś, czego narazie nie umiał nazwać. Usiłowała być swobodną, lecz widział dobrze, że jest dziwnie zmieszana i jakby zakłopotana. Czyżby miała względem niego jakie zamiary?...

Ogarnął ją ukradkowym spojrzeniem. Dziewczyna była pospolita, ale — do kata! — nie do pogardzenia...

Uśmiechnął się pobłażliwie.

Naraz przed oczyma stanęła mu słodka twarzyczka Janki, a jej piękne oczy zdawały się z wyrzutem patrzyć na niego... Ogarnęła go irytacja. Że też do głowy przychodzą mu jeszcze tak płoche myśli... Och, mężczyźni są nikczemni!

Chwilę postępowali w milczeniu. Młodzieniec widział, że dziewczyna ukradkiem go obserwuje. Dziwiło go niezmiernie, że już nie wspominała nic o zwichniętej nodze. Czyżby...? — Uważając, że na leży coś powiedzieć, zapytał wreszcie, oczyma wskazując kierunek:

— Pani mieszka w owym domu nad jeziorem, panno Zofio.

Drgnęła. Zmieszała się.

— Pan wie kto ja jestem?

— Wiem... Znam panią z widzenia.

— Z widzenia?... A jednak mogłabym przysiąc, że pan nie widział mnie nigdy...

Zdzisław już otworzył usta, aby opowiedzieć, jak sam będąc ukryty, widział ją w lesie w towarzystwie panny Melanii, pokojówki państwa Krańskich, gdy naraz ze zdziwienia słowo zamarło mu na ustach. Dziewczyna podniosła na niego oczy i spojrzała w kierunku jego wzroku.

Zobaczyła w pewnej odległości idącą grupkę młodych ludzi. Byli to Janka Krańska, Irena Żalowska, Tulczyński i młody dziennikarz.

Spojrzała na Zdzisława. Był zmieszany i usta miał silnie zaciśnięte. W jego oczach, wpatrzonych w nadchodzących, malowało się zdziwienie i niepokój. Zofia teraz dopiero zrozumiała przyczynę nagłej zmiany w jego zachowaniu. Janka Krańska była tą wybranką serca Zdzisława Donieckiego, o której mówił jej Franciszek w czasie nocnej schadzki. Ale dlaczego teraz to spotkanie? Był-żeby to tylko przypadek? Czy może pannę Krańską umyślnie sprowadzono, aby...

Jakaś myśl przemknęła jej przez głowę i niepokój odbił się na jej twarzy.

Czyżby ją oszukano?

Zwróciła się do Zdzisława:

— Przepraszam, ale z mego powodu przegrał pan zakład, prawda?

Wejrzał na nią roztargniony.

— Jaki zakład? O czem pani mówi?

— Dwa, względnie trzy dni temu zakładał się pan z kimś...

— Ja?... O co?

— Pan zapomniał? Przecież pan urzynił zakład z pewnym młodym człowiekiem. Widzi pan, że wiem o wszystkiem.

— Ją naprawdę nie rozumiem pani.

Zofia zacisnęła zęby. Więc oszukano ją bezczelnie? Wybrano ją za narzędzie jakiejś intrygi, a ona... Och, ona zawierzyła temu... temu człowiekowi, który pewnie zawsze ją oszukiwał... O, jakże była naiwną!

Zmierzyła odległość, dzielącą ich od towarzystwa z willi „Aurory“ i ucieszyła się. Tamci byli oddaleni o jakie sto trzydzieści metrów i zajęci rozmową. Może nie spostrzegli jeszcze jej i — pana Donieckiego...

Postanowiła działać bez zwłoki.

— Bardzo panu dziękuję za nader miłe towarzystwo — rzekła, odsuwając się od młodzieńca. — Sama już wrócę do domu.

— A pani noga?

Uszła już kilka kroków, ale odwróciła się. Zauważył, że usta miała zaciśnięte i ciemny rumieniec na twarzy.

— Noga już nie boli... Przepraszam, że... że okłamałam pana, ale i mnie oszukano.

Zdzisław stał oszołomiony. Zofia Niewiarowiczówna oddalała się szybko — szła równym, sprężystym krokiem.

Więc nie zwichnęła nogi?... Okłamała go, chcąc przyczepić się do niego. Ale w jakim celu przyczepiła się, kiedy potem opuściła go tak nagle i przyznała się nawet do kłamstwa?... Powiedziała, że i ją oszukano...

Wzruszył ramionami.

Naraz jakaś myśl błysła mu w głowie — myśl niespokojna, denerwująca:

Czy Janka widziała go idącego z tą dziewczyną? Może widziała, jak Zofia, udając, że zwichnęła nogę, trzymała go pod rękę i opierała głowę na jego ramieniu...

Odwrócił się szybko. Tamci stali na drodze i spoglądali w jego kierunku. Spojrzenie jego spotkało się z ich wejrzeniami i zrozumiał, że widzieli wszystko. Zdawało się mu nawet, że Janka ma zagryzione usta i patrzy na niego ze smutnym wyrzutem, Kazimierz ze zdziwieniem, a Tulczyński z dyskretnie ironicznym uśmieszkiem.

Parę sekund stał jak skamieniały.

Więc Janka widziała wszystko... Może nawet posądza go w tej chwili o kłamstwo i gorzej jeszcze... Przypomniała się mu treść oszczerczego anonimu, w którym nieznany mu nieprzyjaciel nazwał go... „miejskim donżuanem".

— A do djabła! — warknął gniewnie. — Po co ta dziewczyna przyczepiała się do mnie... Przecież nie po to, aby Janka widziała mnie w jej towarzystwie?!...

Próżno zastanawiał się nad tem. Doszedł nawet do wniosku, że Zofia Niewiarowiczówna chciała właśnie, aby Janka nie widziała go w jej towarzystwie. Dlatego też, ujrzawszy nadchodzącą pannę Krańską, opuściła go w takim pospiechu. Czyżby wiedziała, że Janka jest jego narzeczoną? Ale skąd.. skąd?... I powiedziała, że ją oszukano... Kto oszukał? W czem? Co to wszystko znaczy?...

I na żadne z tych pytań nie umiał znaleźć odpowiedzi. Nie mógł zrozumieć dziwnego postępowania tej dziewczyny.

Zrozumiałby pewnie wszystko, gdyby wiedział, że tego dnia Zofia Niewiarowiczówna otrzymała niepozorny bilecik, na którym drobnym, męskiem pismem nakreślone były następujące słowa:

„Dziś, po południu będzie na poczcie.

Uważaj i skorzystaj z okazji. Wkrótce zobaczymy się znowu.

Franciszek."

Ale Zdzisław nie wiedział o niczem.

Niespokojny i ze ściśniętym sercem podążył naprzeciw swej narzeczonej.

Rozdział III.

POSZLAKI

Młody dziennikarz zabrał się do pisania listu, ale czując nadchodzący ból głowy, cisnął pióro na biurko i podszedł do otwartego okna.

Był trochę zdenerwowany. Przed chwilą łamał był sobie głowę nad dręczącymi go pytaniami: Kto jest nieznany wróg Zdzisława Donieckiego i panny Krańskiej? — Dlaczego jest ich wrogiem?

Ponieważ każdy, chociażby najbłahszy wypadek musi wynikać, na zasadzie nieugiętego prawa przyczyny i skutku, z poprzedniego wypadku, dlatego nienawiść tajemniczego osobnika do Zdzisława musi wywodzić się z jakiegoś wypadku, czy może nawet z niedostrzegalnego drobiazgu. Ale Kazimierz był bardzo mało wtajemniczony w szczegóły życia, może nie tyle Zdzisława, co Janki Krańskiej, a to było główną przyczyną, że nie mógł, choćby w przybliżeniu, odpowiedzieć sobie na powyższe pytania.

Kto więc mógł być tajemniczym osobnikiem, kryjącym się pod, dużo mówiącym, pseudonimem: „Gość"?

Dziennikarz wysilał swój umysł. Zdzisław opowiedział mu o nocnym gościu w ogrodzie i nadmienił, że widział sprawcę djabelskiego śmiechu. Ma to być młody człowiek, wysokiego wzrostu, o starannie wygolonej twarzy. Kazimierz zastanowił się. Kto, ze znanych mu osób, odpowiadałby takiemu rysopisowi?

Na to pytanie znalazł odpowiedź, ale ta zdawała się mu być niedorzeczną. A kiedy obok tej odpowiedzi postawił drugie pytanie — dlaczego jest wrogiem — to w jego głowie powstawało tyle najsprzeczniejszych z sobą domysłów, że zwątpił zupełnie, czy kiedykolwiek znajdzie właściwą odpowiedź.

Kazimierz czuł się prawie zniechęcony i przybity niepowodzeniem. Musiał jednak przed sobą przyznać, że myśl, iż nie będzie mógł przysłużyć się przyjacielowi, nie była wyłącznym powodem jego zdenerwowania. W rzeczywistości główną przyczyną było to, że ujawniając autora oszczerczych anonimów, przysłużyłby się pannie Krańskiej i za to zyskałby może przychylność jej kuzynki... O Irenę chodziło mu najwięcej. Irena jest taka ładna, sympatyczna, miła... taka... Bezwzględnie jest dużo więcej warta od wszystkich więcej, czy mniej kokieteryjnych lalek, jakie poznał dotychczas. Jest inteligentna, żywa, pełna fantazji, przy tym rozważna i — taką chciałby widzieć swoją żonę.

— Ach, gdyby... — zaczął. Nie dokończył swej myśli, bo nagle odczuł na sobie czyjeś uporczywe spojrzenie. Podniósł błyskawicznie oczy i zobaczył przy oknie stojącego — Tulczyńskiego.

— Nie przeszkadzam panu? — zapytał literat, przez okno spoglądając w głąb pokoju.

Kazimierz był zaskoczony tą wizytą, lecz na zewnątrz nie okazał najmniejszego zdziwienia.

— To pan? — przemówił. — Bynajmniej. Nie przeszkadza mi pan wcale. Nie jestem zajęty. Ale, może pan wejdzie do pokoju?...

Tulczyński potrząsnął głową.

— Dziękuję — rzekł — ale ja przekładam spacer na wolnym powietrzu. To działa więcej uspakajająco na nerwy, niż siedzenie w mieszkaniu. A ponieważ, jak pan wie, przyjemniej jest spacerować w towarzystwie, dlatego też, zobaczywszy pana zadumanego przy oknie, zbliżyłem się z zamiarem wyciągnięcia pana na powietrze. Może pan zechce mi towarzyszyć, oczywiście jeśli pan jest wolny?..

— Z przyjemnością skorzystam z pańskiego zaproszenia — ucieszył się Kazimierz. — Idę w tej chwili.

Chwycił za kapelusz i, zamknąwszy pokój, wyszedł na drogę.

— Przyszedł pan w sam czas, gdyż nudziłem się okropnie — mówił z uśmiechem, podając Tulczyńskiemu rękę. — Pan wiedział, że ja tu zamieszkuję?

— Oczywiście, że nic nie wiedziałem, że pan zamieszkał w szkole. Bo skąd-że miałem wiedzieć? Pan nic nie mówił... Dopiero ujrzawszy pana w oknie, domyśliłem się wszystkiego.

Dziennikarz przyjrzał się mu ostrożnie. Tulczyński zdawał się być zamyślony. Twarz jego była spokojna, ale Kazimierz spostrzegł natychmiast, że pod maską spokoju kryje się coś zupełnie przeciwnego... Oczy literata, ukryte poza ciemnymi szkłami, biegały niespokojnie na wszystkie strony i, od czas do czasu, spoczywały na twarzy młodego dziennikarza, jakby chciały przynaglać go do pospiechu.

Kazimierz nie miał zwyczaju uprzedzać wypadków, ale w tej chwili, kiedy spoglądał na Tulczyńskiego, nie mógł opędzić się myślom, że to nie są takie sobie przypadkowe odwiedziny. Coś mu mówiło, że Tulczyński przybył do niego już z gotowym planem postępowania. Jaki był ten plan? — Nie wiedział, ale pochlebiał sobie, że dowie się niezadługo.

Postanowił działać w tym kierunku.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

ADAM CZEKALSKI

10)

Radość życia

powieść

Kobiety zawsze bledną od wzruszenia, mężczyźni marszczą czoła od pilnej uwagi. Nagle wszystko to wybucha potężnym grzmotem; widzę tysiące twarzy uśmiechniętych przyjaźnie, albo wprost miłośnie, tysiące par oczu rozpłomienionych od ciekawości i wzruszenia, tysiące postaci wyciągających ku mnie rozmiotane dłonie, ktoś podaje mi wiąź kwiatów buchających silną wonią, kilkadziesiąt mniejszych pada u mych stóp, z grzmotem oklasków zapalczywych, nieskończonych, milknących na chwilkę i ze zdwojoną siłą wybuchających znowu, i znowu, i znowu, łączy się basowy turkot jednego tylko, przez ust tysiące powtarzanego wyrazu: brawo! brawo! brawo! brawo!

Wpatrzyłem się w ten tłum ludzki, pstry, rozgorączkowany, który za chwilę miałem porwać i unieść z sobą na niepojęte wyżyny ideału, jakbym w nim szukał kogo lub czego. I nagle doznałem uczucia, jakby mnie ktoś nagle uderzył w piersi i odepchnął. Wzrok mój spoczął na krótki moment na postaci kobiecej, wspartej na ramieniu majora Gonzzi. Była to Julia, dawna moja Julia, która przyjechała na mój koncert i najprościej w świecie przeszła przez salę wsparta na ramieniu męża, z kilku kwiatkami w ręku i swobodnym uśmiechem na twarzy, piękniejsza jeszcze niż przed dwoma laty... Przyszła na mój koncert zapewne z niepokonanej ciekawości lub też chęci śmiałego stawienia czoła trudnemu położeniu.

Wiedziałem teraz dobrze, że ową zemdloną kobietą tam w Atenach była ona i że Gonzzi był jej mężem, ale nie zabolało mnie to wcale, ani odrobinę, bom jej już nie chciał. Była mi obojętną i daleką. Ale chciałem się zemścić za to, że mnie wtedy opuściła i pocieszyła się następnie prędko, wychodząc zamąż. Radowałem się ogromnie myślą, że na widok mnie i słysząc mnie wskrzeszonym, odrodzonym, znowu zbierającym hołd i triumfy, cienkiemi paluszkami podarłaby z żalu i gniewu chusteczkę, a potem, bez świadków, ten lachmanek batystowy zmoczyłaby łzami.

Usiadła w pierwszym półkolu, radosna, uśmiechnięta i śmiałym spojrzeniem uderzyła we mnie. Wytrzymałem to spojrzenie napół wyzywające, napół ironiczne, a gdzieś tam na dnie mego serca powstała zacięta uraza i chęć zemsty srogiej i okrutnej.

Zacząłem grać, wpatrując się w nią, a jednocześnie przypominała się przeszłość umarła i dawne rozkoszne chwile z nią, co zrazu spotęgowało w grze mojej pierwiastek rzewności, który był zawsze jednym z głównych jej czarów, a potem wlało w nią jeszcze coś innego. Coraz więcej stawałem się tłumaczem tego, co istnieje w ludziach najniezawodniej i najpowszedniej, a przyziemne pierwiastki życia i świata spychane na głębię, podnosi się przy lada dotknięciu, jak siła żywiołowa na uwięzi trzymana, lecz niezniszczalna. Środek ten nie był moim własnym, ale użyłem go tym razem nieumyślnie nawet, bo ta siła żywiołowa, we mnie samym zbudzona, prze palce moje grała na strunach. Było to natchnienie, którego tłumić nie chciałem, ale przeciwnie, swobodnie puściłem wodze fantazji i moim tonom, które ze strun wydobywał palcami ktoś, kto nie był mną, albo przynajmniej całym mną, ale w tej chwili wyprawiał we mnie prawdziwe orgie pieszczot, pocałunków, wszystkich najpospolitszych i najwymyślniejszych uciech, których tak bardzo i tak oddawna byłem spragniony i tego wszystkiego co się nazywa miłością.

Po raz pierwszy w życiu improwizowałem na estradzie.

Do ostatecznych granic rozpasałem w moich słuchaczach siłę żywiołową, która we mnie samym w miarę grania wzrastała prawie do szału, aż nakoniec wyczerpany, od stóp do głów gorejący, z czołem mokrem, wargami drżącemi jak liście, opuściłem smyczek i w ogłuszającej wrzawie blasków krzyków, stuku sprzętów i stóp o podłogę uderzających, stałem nieruchomy, bezsilny, do ostatka zmordowany tym przelotem przez moje wnętrze niespodziewanej burzy.

Oczy moje odszukały oczu Julii i wpiły się w źrenice z szyderczym triumfem. Piękną obojętność, z którą tu przyszła, w grze mojej zniknęła bez śladu, ciemne jej źrenice patrzyły na mnie jak przepaście bólu i żalu. Wtedy rozległ się we mnie triumf najsilniejszy, jakiego doznałem kiedykolwiek, podszyty złą, jadowitą i chciwą radością.

Anim słuchał, anim mógł zrozumieć cokolwiek z tego, co przyjaciele moi, kobiety i mężczyźni, całe to grono pstre i gadatliwe mówiło do mnie, kiedy znalazłem się w salonach jednego z przyjaciół, również muzyka, gdzie mnie goszczono. We mnie nurtowała jedna jedyna tylko myśl, jedna radość, żywiołowa, ogromna, wybuchająca co chwilą jak wulkan kaskadami śmiechu, żem się pomścił, żem odpłacił przeszłość.

A kiedy po uczcie wspaniałej, wystawnej, która była nie Bachanalią pijaną i bezmyślną, lecz biesiadną wykwintną, gwarną, wesołą i piękną... kiedym po owej uczcie schodził po marmurowych schodach pałacyku mego przyjaciela, dogonił mnie szept, czyjś szept:

— Sew!

Przystanąłem, a szatan triumfu rozhuczał się we mnie złowrogiem, ale radosnem chichotem. Odwróciłem się. Julia zapłoniona, wzruszona i drżąca stała przede mną i źrenicami swemi jak przepaściami, tak były głębokie — wpatrywała się we mnie.

— Słucham panią. Czem służyć jej mogę?

Byłem chłodny, sztywny, przygotowany na odparcie ataku, jakiegokolwiek byłby on charakteru.

— Sew, dlaczego jesteś taki obojętny, zimny, wyrachowany? Czy nic nie zostało w tobie z przeszłości?

— Owszem, został osad niesmaku po wypitym kielichu piołunu z pani pięknych rączek. Zbyt wcześnie wzięła mnie pani za nędzarza, zbyt wcześnie, bo oto ja znów powstałem mistrzem. Schórzyła pani i uciekła!

— Ach, nie mów tak, nie mów!

— Boli to panią? Dobrze, więc nie będę mówił, a raczej będę mówił o czem innem, o tem mianowicie, że winienem pani wdzięczność, boś mi zdjęła bielmo z oczu, jednak za to właśnie nienawidzę panią...

— Sew!

— Nienawidzę panią za ten egoizm, któryś okazała, za faryzeuszostwo rzekomych uczuć, za ucieczkę przedwczesną i tchórzliwą, za całą przeszłość, która, niestety, była naszą wspólną przeszłością. Olśniłaś mnie sobą na chwilę, a potem pozwoliłaś mi przejrzeć. Ocknąłem się po chwili upojeń i doświadczyłem tego, czego mógłby doświadczyć motyl, gdyby, posiadając samowiedzę, ujrzał swoje świetne, lotne skrzydła w prochu, a siebie w postaci robaka... Żegnam panią.

Skłoniłem się i opuściłem pałacyk przyjaciela, zostawiając ją zatroskaną i wzburzoną na schodach.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 13 grudnia 1936 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 W 350-tą rocznicę króla Stefana Batorego Transmisja nabożeństwa z Grodna, podniesienia sztandaru króla Stefana Batorego oraz przeglądu wojska 10.30 Tańce symfoniczne 12.03 Koncert rozrywkowy 14.15 Moje zwierzątko" — opowiadanie 14.30 Muzyka lekka 15.30 „Audycja dla wsi" 16.30 Fragment słuchowiskowy „Łgarz" 17.00 Koncert symfoniczny 19.00 „Rzut oka na najnowszą powieść polską" — szkice literackie 19.20 Koncert rozrywkowy 21.00 „Na wesołej lwowskiej fali" 21.30 Arie i pieśni kompozytorów francuskich i włoskich 22.00 „Pasierbice sygnału" — reportaż muzyczny 22.30 Muzyka taneczna — płyty.

Poniedziałek, dnia 14 grudnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 „Z muzyki francuskiej" 15.15 Muzyka lekka (płyty) 15.55 „Wszystkiego po trochu" 16.30 Koncert orkiestry wojskowej 17.00 „Udział Polski w dyplomacji europejskiej" — odczyt 17.15 „Pół czarnej i piosenka" — lekki koncert 17.50 „Co się dzieje w kałuży" — pogadanka 19.00 Audycja strzelecka 19.30 Recital fortepianowy Beli Bartoka 20.00 Mała orkiestra P. R. 21.00 Słuchowisko pod tyt. „Wizyta u Goethego" 22.00 Koncert symfoniczny 23.00 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 15 grudnia 1936 r.

6.00 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Tańce różnych narodów — płyty 15.15 Koncert 16.30 Pół godziny pogodnej muzyki 17.00 „Dni powszednie państwa Kowalskich" — powieść mówiona 17.15 Recital śpiewaczy Valborgi Landberga 17.50 Monolog Teodora Bujnickiego 18.10 „Sport w miastach i miasteczkach" 19.00 „Dyskutujmy: Czy roboty publiczne opłacają się gospodarczo i społecznie" 19.20 Koncert Małej Orkiestry P. R. 20.00 Rozmowa muzyka ze słuchaczami radia 20.15 Koncert symfoniczny 22.30 „Pisarze zapomniani" — szkic literacki 22.45 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 16 grudnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Koncert orkiestry wojskowej 15.15 Szlemińska, Żabejda-Sumicki, Czaplicki — płyty 16.10 Kukiełki śląskie: „Wielki sekret" — audycja dla dzieci 16.30 Koncert w wykonaniu Łódzkiej Orkiestry Salonowej 17.00 W walce ze szpiegostwem (odczyt III) 17.50 Wywiad fikcyjny „Rozmowa ze Stanisławem Brzozowskim" 18.50 „Nawozy ogrodnicze" — pogadanka 19.20 Kwintet Stefana Kachonia 20.00 Muzyka lekka 21.00 Koncert chopinowski w wyk. Alfreda Hoehne'a 21.30 „Polska opowieść o E. T. Hoffmannie" — audycja 22.15 Wieczorny koncert rozrywkowy 23.00 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 17 grudnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Poranek z Filharmonii Warszawskiej dla młodzieży szkół powszechnych 12.03 Koncert w wyk. Małej Orkiestry P. R. 15.15 Koncert Tria Polskiego Radia 16.20 „Przyroda w grudniu" — pogadanka 16.35 Wiązanki melodyj 17.15 Koncert w wykonaniu Kwartetu instrumentalnego 17.50 „Ukraińskie instytuty naukowe" — odczyt 19.00 Godzina lekkiej muzyki 19.45 Koncert solistów 20.25 „Mordy — miasto szydelkarek" — felieton 21.00 Tańce i melodie polskie — koncert 21.30 „Sylwetki kompozytorów polskich" — „Adam Wieniawski" 22.15 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 18 grudnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 15.15 Fragmenty oper Verdi'ego (płyty) 16.30 Koncert Małej Orkiestry Polskiego Radia 17.00 „Do kraju cygar i trzciny cukrowej" — felieton 17.15 Muzyka (płyty) 18.30 Teatr Wyobraźni wznawia cykl dialogów Platona — cz. I pt. „Eutyfron". 19.15 „Z pieśnią po kraju" 19.55 „Harfa", cymbałki i klawesyn" — 4 audycja z cyklu „O instrumentach orkiestry symfonicznej" 20.15 „Maria" — opera Statkowskiego w 3-ch aktach 23.00 Muzyka taneczna.

Sobota, dnia 19 grudnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 „Śpiewajmy piosenki" 12.03 Koncert zespołu Pawła Rynasa 14.30 Słuchowisko dla dzieci: „Gwiazdka Marcina" 15.15 Koncert w wykonaniu Małej Orkiestry P.R. 16.15 „Na północy" — koncert 17.00 Koncert solistów 19.00 Audycja dla Polaków z zagranicy 19.30 Koncert rozrywkowy w wyk. Orkiestry Wileńskiej 21.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P.R. 21.30 „Na dobranoc" — audycja muzyczna 22.00 „Wesoła Syrena" 22.30 Robert Schumann: Fantazja C-Dur op. 17 23.00 Muzyka taneczna (płyty).

H-U-M-O-R

Podsłuchane

Żona: — Jeżeli ci tak obrzydłam, to czemu się ze mną nie rozwiedziesz?

Mąż: — To tylko przez litość dla tego, ktoby się po mnie z tobą ożenił.

W szkole

Nauczyciel: Powiedz mi Szmulku, kiedy zgorzała świątynia Diany w Efezie?

Szmulek: A bo ja wiem? Ona nie była ubezpieczona u mojego taty.

Przestroga

— Dlaczego cię ukarano?

— Nie wiedziałem, gdzie leżą Azory!

— To cię nauczy na przyszłość w większym porządku swoje rzeczy utrzymywać.

Zmieniła nazwisko

Robotnica, analfabetka, przychodzi do kasy po odbiór swej tygodniowej zapłaty. Jako nieumiejąca czytać i pisać, dotychczas zawsze podpisywała kwit znakiem krzyżyka. — Tym razem jednak zamiast krzyżyka zrobiła kółko. Zapytana, dlaczego nie zrobiła krzyżyka, odrzekła:

— Przecież panowie wiecie, żem wyszła za mąż i zmieniłam nazwisko.

Powinien zrozumieć

Symchowicz i Rapaport pokłócili się.

Po wyczerpaniu wszelkich argumentów i wymysłów, Symchowicz podchodzi do Rapaporta i odzywa się przyjacielskim tonem.

— Słuchaj, ty przecież jesteś mądry chłop, prawda?

— Oczywiście — potwierdza przyjaciel.

— No to przecież powinieneś zrozumieć, że jesteś skończony idjota.

W szkole

— Powiedzcie chłopcy, jakie zęby dostaje się najpóźniej?

— Kły.

— Źle, Fikalski, ty powiedz.

— Sztuczne, panie psorze.

Dobry sposób

...bo widzi pani, ja tak samo jak pani nie cierpię odwiedzin. Skoro tylko zauważę, że ktoś się do mnie wybiera, prędko wychodzę z domu z wizytą.

Radzi sobie

Teściowa (do zięcia): — Jesteś wegetarjaninem, a jednak zajadasz mięso!

Zięć: — No tak, jem wprawdzie mięso, ale tylko ze wstrętem.

Przy powitaniu

Mąż (do żony i córki): — A co, odebrałliście mój list?

Żona i córka (zdziwione): — Nie!

Mąż: — O, widzicie, jak to dobrze, że go nie napisałem. Byłem pewny, że nie dojdzie.

Tego nie myślała

Młoda żonka: — Mężusiu, nasza nowa służąca przy sprzątaniu dziś rozbiła twój kałamarz. Z płaczem prosiła mnie, ażebym się za nią wstawiła, żebyś się na nią nie gniewał. Prawda, że jeden całus ułagodzi cię?

Mąż: — Co do mnie, nie będę miał nic przeciwko temu, jeżeli jest ładna i nie stara.

Wielka przyjemność

Pan Kleofas czyni żonie wymówki:

— Bój-że-się Boga, Jadziu!... Każdy żebrak, który do ciebie przychodzi, dostaje obiad! Czy to nic nie kosztuje?...

— Mój drogi, gdybyś wiedział co to za przyjemność... — odpowiada młoda gospodyni. — Czy może być większa rozkosz niż patrzeć jak mężczyzna je u mnie obiad, nie narzeka na moją kuchnię i nie przypomina, że jego matka gotowała o wiele smaczniej?!

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się. Wystarczy adresować: „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie.